

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET



Jesus Christus Consolator.

(Podług obrazu B. Plockhorsta).

ROZKOSZE ŻYCIA.⁽¹⁾

ŚWIĘTOWANIE I PRACA.

— Przez pracę do odpoczynku, przez bój do zwycięstwa... powiedział wielki moralista chrześcijański, Tomasz a Kempis, przecież nie do walk, nie do starć życia należy się zaliczać pracę. Jeżeli nie jest zaciętką, jeżeli nie przechodzi sił pracującego, staje się nietylko źródłem dobrobytu, ale i bogatym źródłem szczęścia. Wiemy wszyscy, jak szybko upływa nam czas wśród zajęcia, wiemy również, jak cięży próżnującemu, jak go przygniata nuda bolesna, przez którą natura dowodzi nam, że próżnowanie leży poza przeznaczeniem człowieka. Zajęcie umysłu, jakie praca niesie ze sobą, podnosi go po nad myśl o różnych dolegliwościach, brakach jego istnienia i angielski poeta, Gray, nie mylił się też pisząc:

Pracy-to darem jest myśl wesola, —
Praca sprowadza tego anioła,
Który w dzień staje nam do pomocy
A sen spokojny sprowadza w nocy.

Niéma uczeiwej pracy, któraby poniżała. Najskromniejsza w owocach, które wydaje, jest równie dobroczynną przez siłę uszczęśliwiającą człowieka: nie stawia przed nim wielkich obietnic sławy i zaszczytów, ale daje mu słodkie zadowolenie spełnionego obowiązku i zdrowia, które można posiadać tylko pracując, bo praca daje dobre zajęcie którego potrzeba człowiekowi, aby nie skłócała się w nim równowaga sił, potrzebujących tego, aby użytemi były. Emerson powiedział mądrze, że anioł stróż człowieka w niemożliwych jego latach już wie dwa wieńce wawrzynowe, które może on sobie wśród życia przyozdobić czoło, a jest niemi ludzka zdolność pracy i zamiłowanie do niej, które posiadają wszystkie szlachetniejsze jednostki. Starożytni nazywali pracę ceną nałożoną przez bogów na rzecz wszelką, mającą wartość jakąś, bo żadna rzecz taka, która ją posiada, nie może dostać się człowiekowi inaczej i na wszystko, co jest dobrem na świecie, ktoś pracować musiał. Natura wykłada lekcję tę człowiekowi, bo wszystkie jej plody dziekie potrzebują być ulepszone przez pracę człowieka, aby można było nazwać je doskonałymi. Owoc kwaśny zdobywa sobie słodycz, gdy człowiek uszlachetni w sadzie swoim płonkę dziką przez szczep kunsztowny i kto umie patrzeć, widzi, że natura przedstawia człowiekowi głównie zapasy, z których on korzystać może dopiero w całej pełni, gdy doda do nich coś pracowitego trudu. Anglicy mają przysłowie, że łatwo się czyta tylko to, co z trudem było pisane, czyli na co pisany musiał ciężko pracować: musiał umysł swój kształcić pracowicie, musiał potem trudzić go pracą myśli twórczej i pracą wcielenia jej w formę słowa odpowiednią. Platon przerabiał podobno trzynastą razę pierwszą kartę księgi swej o państwie a Michał Anioł wielokrotnie przetwarzał głowę Mojżesza.

Lepiej dla zdrowia i szczęścia człowieka pracować się, niżeli gnuśnieć próżniaczko, ale są tu granice, których nikt przekroczyć nie może bezkarnie. Aby nie utracić zdolności do pracy, trzeba odpoczywać, gdy nas strudzi, co jest zdobywaniem sobie sił nowych — uzbrajaniem się w oręż, koniecznie nam potrzebny. Jak praca jest nam miłą, gdyśmy odpoczęli po niej należycie, tak i święto ma urok prawdziwy dla tych tylko, którzy pracują. Praca więc usposabia nas do tego, aby świętowanie mogło cieszyć nas radośnie, i próżniak nie zazna nigdy prawdziwej rozkoszy święta; trzeba przecież abyśmy tak umieli dobrze świętować, jak trzeba nam umieć pracować do-

brze. Praca służy realnym życia interesom, święto powinno wnieść w życie nasze coś ideału; wszystkie społeczeństwa, wszystkie wyznania przekazały na dzień święta wypełnianie pewnych obowiązków religijnych, nakazały modlitwę, która jest wzniesieniem myśli i zwróceniem uczucia naszego ku górze — ku Niebu. Bóg jest najwyższym, najpierwszym ideałem, postawionym przed ludzkością i niema istoty szlachetniejszej, podnioslejszej, która by nie czuła związku ziemi z niebem — człowieka z Bogiem. Wyższe duchy mają wszczepiony w siebie instynkt religijności i pojęcie Boga wzniosłe; były też za czasów pogańskich dusze przeniknięte tak czystą religijnością, że zbliżały się w pojęciach swoich o ziemi i niebie do chrześcijańskiej idei Bóstwa. Platon, Marek Aureliusz, Epiktet, Sokrates, to zastęp ludzi, którym mądrość ukazała Boga wśród wszechświata jako najwyższe dobro i piękno czyste.

Święto powinno być odpoczynkiem po pracy, ale nie ma to być martwy odpoczynek głazu, ani liche świętowanie przez strony człowieka zwierzęce. Jeść i pić, nie jest to jeszcze świętować: święto pomaga ludziom do bratniego łączenia się ze sobą i świętowanie chrześcijańskie powinno być świętem ludzkości, które każe wyciągać rękę po uścisk bratni — każe go brać i dawać. Świętem to jest dla człowieka, gdy czuje, że nikt w pobliżu jego nie cierpi, nie męczy się, nie ma gorącego znoju pracy na czole i do obowiązków świętowania chrześcijańskiego należy to, abyśmy w zakresie działalności naszej rozszerzali dobrodziejstwo takiego świętowania w możliwie najrozszerzonym kole.

Dać sercu bić szlachetnie, dać myśli wzniesić się podniosło — to święto jest dla osobistości takiej, która pojmuje piękność życia i życia użycie przez „podniesienie ducha, które nie dopuszcza, aby braterstwo ludzkości rozerwanem zostało przez podział ludzi na kasty“. Świętuje się dnia tego, gdy się położenie takie możliwie najdalej od siebie odsunie, świętuje się pobożnie, gdy według przykazań bożych kocha się bliźniego jak siebie samego — czuje się w każdym człowieku brata.

Wielkiem — może największym świętem dla ducha ludzkiego jest, gdy dojdzie do takiej zgody ze sobą samym, że się już o nic niespokojnie nie oskarża, nie kłóci się z niczem, co w głębi jego przebywa, co się w sercu jego mieści. Wszystkie złe uczucia z serca tego sobie wymieść, a dobre na pomoc pracy życia przywołać, zbudzić je, jeżeli zadrzemały, jeżeli ostygły, zapaleć wzruszonego uczucia je ogrzać — to znaczy świętować dobrze, to znaczy świętować szczęśliwie.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg).

Stary Fatt zwiesił głowę i zamyślił się; wracał do domu zasypany jakimś, znużony, z wrażeniami, które mu zmąciły zwykłą jego równowagę i popsuły humor. Nie chciał tego okazywać nikomu w domu syna, wolał się usunąć i wrócić co prędzej do swojego zacisznego kąta i wygodnego *vaterstuhlu* przy biurku.

Odwykł od zgiełku świata, licznych zebrzań nigdy nie lubił a zwłaszcza takich, jakie napełniały wystawne salony Karola; czuł się tam zagłuszonym, krępowanym wobec tych ludzi, których po większej części nie znał, wobec nowych twarzy, które poraz pierwszy, a zapewne i ostatni, widział.

Słyszał wprawdzie wiele nazwisk znajomych, przypominających mu rozmaite firmy przemysłowe i kupieckie, ale należały one widocznie do synów i córek tych ojców, z którymi za swoich czasów się spotykał w innych warunkach i innych okolicznościach.

To nie był jego świat, choć niby jego sfera.

Aż się sam dziwił, jak obcym czuł się w tem otoczeniu; wszystko wydawało mu się odmiennem, nowem, a w tej nowości swojej tak mało sympatycznym.

Nawet jego własny syn, nawet Karol na tem tle przedstawiał mu się całkiem inaczej.

To dziwna!... staremu fabrykantowi poraz pierwszy zaczęły przychodzić do głowy myśli, które mu przykreść sprawiały. Miał uczucie, jakgdyby zabłądził, jakby przez pomyłkę wszedł do jakiegoś cudzego domu i natrafił na uroczystość familijną, w której był intruzem, przez grzeczność zaproszonym do stołu i wmieszanym do towarzysztwa.

Ten obiad taki długi, taki wymysłny, taki pański, jakby popisać się chciało przed całym światem kucharzem i piwnicą; ta wystawność przesadna, kosztowna, niemal marnotrawna, tych gości tyle, których sproszono ze wszystkich czterech stron miasta, aby ich nakarmić truflami i napoić szampanem — poco to?... w jakim celu?... dla kogo?...

Zaręczyny?... no, pewnie — rozumował stary — to okazała niezwykła, radosna, uroczysta, ale na co tyle parady na popis!... co tych wszystkich ludzi obchodzić to mogło, że panna Liza Fattówna, córka starego Fatta, który był ongi chłopcem sklepowym w składzie żelaza, gwoździ, drutów i t. d. wychodzi zamąż?...

Ma zostać baronową, to prawda, ale czyż to znowu coś takiego wielkiego!... a gdyby ją zaślubił prosty rzemieślnik, kupiec, fabrykant, gdyby nie była posażną panną, córką dorobkiewicza, który ciężką, krwawą pracą zbierał dla swoich dzieci ten majątek, czyżby to świat w równej mierze obchodziło, czyby ci wszyscy panowie i panie pośpieszyli tak samo składać jej życzenia i wznosić toasty na cześć młodej pary?...

Pewnieby nie przyszli, ale nie mniej zaręczyny byłyby zaręczynami, jego córka jego córką, a baron jego zięciem.

Nie... barona nie znałby zapewne wówczas, nie przyjmowałby go do rodziny, nie wiązał się z nim na resztę życia.

To i cóż!... dostałby zięcia innego, z bliższej sfery, któregoby znał lepiej i dłużej, z którymby się czuł poufalszym, szerszym, swobodniejszym... A z tym?... z tym nawet dziesięciu słów jeszcze nie zamienili od serca.

Baron?... cóż to jest baron?... czy to stan, czy to zawód jaki?... ani firma, ani proceder, ani nic; tytuł, — prosty tytuł, który można kupić, jeśli go się przypadkiem nie dostało zadarmo w spuściźnie po kim innym.

A jednak ten tytuł wystarczał, aby człowiekowi obcemu, nieznanemu prawie, którego przypadek sprowadził, powierzał swą jedynaczkę, swą Lizkę.

Czy to nie było za nierozsądne?... za ryzykowne?... za pośpieszne?...

Głupstwo!... sensu niema w tem wszystkim za grosz.

Tak, ale co pomogą takie reflexy teraz, kiedy klauka zapadła, kiedy oboje już po słowie, kiedy zamienili pierścionki i zjedli dwa objady zaręczynowe, kiedy publicznie już fakt ten uświęconym został!...

Staremu robiło się gorzko, jakgdyby pieprz przeżuwał.

Jeszcze większym głupstwem wydały mu się takie spóźnione namysły.

Przecież to Karol, jego pierworodny syn, jego duma, żrenica jego oka, sam Karol to małżeństwo kojarzył, a wszystko, co Karol robi, to ma sens i swoją rację. Jeżeli wybrał dla siostry takiego męża, to musiał wiedzieć, dlaczego to robi, musiał się zastanowić: czy będzie szczęśliwą z nim i czy się taki człowiek nada do ich rodziny, do ich poziomu, stosunków, potrzeb.

Ta myśl uspokoiła trochę jego wątpliwości.

(1) The Pleasures of Life, by John Lubbock.

Całe życie pracował tylko dla dwóch celów: dla szczęścia swoich dzieci i dla honoru swojej firmy. Pan Bóg mu dał na stare lata takiego współpracownika, jak Karol: *Gott sei gelobt*.

Jeżeli to ma być szczęściem dla Lizy, żeby została baronową, to niech idzie za mąż za tego, kogo jej brat przeznaczył i kogo sama sobie wybrała; przecież jej do tego małżeństwa nikt nie przymusza, ma swoją dobrą wolę. Gdyby nie chciała, mogłaby mu powiedzieć, a skoro nie mówi, to widocznie się zgadza.

Niech jej Bóg błogosławi!

Są ludzie, jak ktoś złośliwie powiedział w czasach praktycznych, za którychby się zamaż nie wyszło, ale którym się córki nie odmawia, bo między mężem a zięciem bywa pewna różnica, na której się młode dziewczęta często nie poznają.

Z tem wszystkim staremu Fattowi jakoś nieswojsko było po zaręczynowym obiedzie u syna; rozmaite „za” i „przeciw” ścierały się w jego umyśle, — „za” wychodziły z serca, „przeciw” z doświadczonej głowy.

Wrócił do domu i długo jeszcze siedział w skórzanym swoim fotelu sam jeden, pogrążając się w coraz cięższej zadumie, pomimo wszelkich usiłowań rozproszenia upartych myśli.

Niedoczekawszy się córki i żony, poszedł spać.

Na drugi dzień stara Fattowa spoglądała na męża z pewną frasobliwą podejrzliwością, a do Lizy mówiła:

— Niepotrzebnie ojciec jadł wczoraj na wieczór; całą noc wzdychał i przewracał się z boku na bok.

Chciała mu swoim zwyczajem zaproponować filiżankę rumianku, ale znając jego drażliwość na punkcie zdrowia, nie śmiała się odezwać.

Około południa Karol zajeżdżał swoim kabrioletem przed dom rodziców.

Stary powitał go w milczeniu, a na zapytanie jak się czuje, po wczorajszym obiedzie, skinął głową obojętnie.

— Cóż?... czytałeś?... — odezwał się po chwili, skubiąc swą wystrzępioną brodę.

— Co takiego?...

— O Jańskim.

— Jest już w pismach?

Stary wskazał mu *Kuryera*, leżącego przed nim na biurku z artykułem zakreślonym niebieskim ołówkiem.

— Nie miałem czasu dziś rano.

— Przeczytaj.

Pod tytułem: „Sensacyjne samobójstwo”, całą szpalte zajmował bardzo szczegółowy opis wypadku, któremu skwapliwa reporterya nie szczędziła jaskrawego zabarwienia i komentarzy.

Karol ze zmarszczeniem brwiami zaczął czytać artykuł; grymas niechęci osiadł mu na ustach. Widocznie nie podobał mu się sposób zawiadamiania czytelników o ostatnich chwilach samobójcy, a zwłaszcza o przypuszczalnych powodach rozpaczliwego kroku.

Końcowy ustęp szczególnie go podrażnił.

„Jak nas zapewniano, bankructwo nieboszyka odbije się na kilku tutejszych firmach, które mu zawiele zaufały — brzmiała końcowa insynuacja — żyjąc w kółku złotej młodzieży, należał do osobistości bardzo znanych i widywanych wszędzie, gdzie nie brakło wesołej zabawy i dobrego humoru.

„Ci, którzy z jego towarzystwa na życia korzystali, będą musieli podobno drogo opłacić pamięć dobrego kolegi i przyjaciela.

„Powróćmy jeszcze do tego wypadku.”

— Osiły! — przez zaciśnięte usta mruknął Karol i z gniewem rzucił *Kuryera* za biurko; — kto im każe pisać takie rzeczy!...

Stary spojrzał na syna zpod oka i zaczął wyglądając pomiędzy dziennik, instynktownie, przez zamilowanie ładu i porządku.

— Cóż chcesz, — rzekł, — przecież to dla nich pożądana gratka. O czymże-by ludzie czytali?.. Zresztą, piszą zapewne to, co sobie w całym mieście mówią głośno i pocichu. „Kuryerek” jest przecież od tego...

— Żeby plotki drukować? — przerwał syn — co to kogo obchodzi!...

— Mój drogi, w każdej plotce jest coś tam prawdy; z palca sobie nie wyssali przecież tego

wszystkiego. Siadaj — dodał spokojnie — i opowiedz mi coś więcej o tym biednym Jańskim. Nie warto się irytować dla takiej przyczyny.

Mówił to, nieprzypuszczając nawet, jakie mogły być inne powody takiego rozdrażnienia jego syna.

— Nie wiesz, na ile zbankrutował? — spytał po chwili.

Karol rzucił się na krzesło ze słowami:

— Zkądże mam wiedzieć!.. tak od razu przecież się to nie pokaże.

— Mieliliśmy co u niego?

— Rozumie się.

— Dużo?

— Nie pamiętam dokładnie, ale będzie ze dwaście tysięcy.

— Aż tyle?..

Staremu twarz się wyciągnęła.

— Jakto można było kredytować taką sumę człowiekowi, który...

— Który na kilkadziesiąt tysięcy dawał nam obstalunków, prawda? — zachnął się Karol — był naszym stałym kundmanem i dał nam niemało zarobku. Ojciec tak mówi, jakby interesu własnego nie znał i nigdy sam fabryki nie prowadził. Któż mógł przewidzieć, że się przewrócił!..

— Wszystko jedno, kredyt otwiera się tylko ludziom zaufanym, pewnym.

— I Jański był pewnym.

Fatt spojrzał na syna zdziwiony jego niezwykle podrażnionym tonem.

— No, nie bardzo — rzekł powoli i spokojnie — rzucił się zawiele i ryzykował na wszystkie strony.

— Każdy z nas robi to samo, jeżeli chce dojść do czego, — niemal opryskliwie odparł Karol.

— To źle robi, mój drogi, — brzmiała krótka odpowiedź.

— Trudno; minęły czasy, kiedy kilkadziesiąt lat pracowało się na majątek i postępowo krok za krokiem, *langsam weiter*. To dobre było dawniej, ale nie dziś, kiedy można fortunę potroić jedną dobrą spekulacją. Ojciec myśli, że świat stoi na temsamem miejscu, na którym ojciec swój zawód rozpoczynał?.. Śmieje się ojciec z tego!.. Kiep ten, który z czasu nie korzysta i pozostawała się prześcigać innym. Kto chce mieć miliony, musi szybko zbierać.

Stary ramiona podniósł w górę i usta wyduł.

— Dlaczego zaraz chcesz milionów! — rzekł.

Syn odpowiedział mu ironicznym śmiechem.

— Otoż-to wasz staroświecki system!.. wyście sobie ciułałi po groszu i to wam wystarczało, — nam nie. Niema głupich!.. Warto było harować, trudzić się, głowę sobie łamać dla jakichś tam kilkadziesiąt tysięcy przybytku; to jużbym wolał siedzieć z założonymi rękoma i żyć z renty. Po cóż ojciec pracował trzydzieści lat, jeżeli nie po to, żeby zrobić majątek?.. prawda?..

— No, niezupełnie, — odparł stary — ja tam żadnej określonej liczby sobie nie oznaczałem i dla samych pieniędzy, Bóg widzi, nie harowałem tak długo. Jakby ci to powiedzieć?.. widzisz, fabryka to była niby moje drzewo, ...o!.. które ja sam zasadziłem, pielęgnowałem, ochraniałem, dbałem o nie nieustannie, żeby się rozrastało i cieszyłem się każdą nową gałązką, każdym nowym listkiem, które puściło, a ono mi za to dawało dożywienia owoce i sypało ich coraz więcej z każdym rokiem. Ja nie wiem, Karol, czy ty dobrze rozumiesz co ja chcę powiedzieć; widzisz, mnie nie o tesame gruszki, czy jabłka złote chodziło, co się na tem drzewie rodziły, tylko o samo drzewo, bo mnie cieszyło, że ono tak pod moją ręką dobrze rośnie i że to jednak moja zasługa dochować się dużego drzewa z małego szepcu...

— Eh, to poezje, mój ojczel!.. — przerwał mu syn lekceważąco.

— Dajże pokój! — zaśmiał się Fatt — ja i poezje!.. żartujesz. Widzisz, niezrozumiałeś mnie dobrze. To ja ci powiem inaczej: ja robiłem, co do dobrego fabrykanta, do uczciwego człowieka należało, a majątek sam się robił. O!... *da ist die Katz*!.. Ale ty mówisz, że wam to nie wystarcza, że wy robicie dlatego tylko, aby mieć miliony. No, dobrze, i ileż tych milionów wam potrzeba?.. dwa, trzy, pięć, dziesięć, sto, no — a potem co?..

Mieć pieniądze tylko na to, aby z nich znova pieniądze robić — czy to warto!.. to nie może być jedynym celem człowieka, bo to żaden cel, to nie daje żadnego prawdziwego zadowolenia, mój Karolu. Wierz mnie staremu: ja nie czułem się nigdy szczęśliwszym, gdy mi tysiąc rubli więcej w kassie przybyło. Wiesz, kiedy ja byłem szczęśliwym?.. wtedy, kiedy ty mi się urodził, kiedy nowy komin dostawiałem w fabryce, kiedy nową maszynę sprowadziłem, kiedy za nasze wyroby dawali nam medal na wystawie, kiedy już pięćset robotników jadło chleb z mojej ręki i kiedy ludzie mówili: „Fatt, to uczciwy człowiek!.. Fatt, to solidna firma!.. Fatt, to dobry fabrykant!..” ale nie to, że: „Fatt, to bogacz!..” *So, so!*...

Mówił to z łagodnym uśmiechem na ustach, głosem miękkim, dobrotliwym, jak gdyby chciał syna do głębi przekonać i zjednać sobie jego uznanie, wytłumaczyć mu się jasno i wyraźnie, usprawiedliwić z podejrzeń, że był kiedykolwiek interesownym w życiu i chciwym na pieniądze.

Karol słuchał tego obojętnie i cicho między zębami pogwizdywał, przypatrując się z większym napozór zajęciem swoim paznogciom, niż ojcu; drażnił go ten wykład moralnej praktyczności i wyznanie wiary starego zacofańca.

— Tak, to dobre było przed pięćdziesięciu laty, — odezwał się w końcu — kiedy ludzie jeździli dyliżansem, nie koleją żelazną, chodzili dziesięć lat w jednym surducie, palili knaster i pili piwo. Dzisiaj inne potrzeby, inne środki, inne wymagania. Dzisiaj nie zrobiłby ojciec nic w taki sposób, gdyby ojciec czekał tylko na to, co mu jego drzewko urodziło; świat zna dziś inny system do hodowania jak najwcześniej i najobfitszych owoców, — system forsowania. Przecież ojciec się ogrodnictwem zajmował swego czasu, to zna korzyści tego systemu. Trzeba iść całą siłą pary! — Na złamanie karku, jak Jański? — spytał ojciec, kiwając głową.

— Jańskim!.. kontent ojciec, że mi tym Jańskim może ciągle oczy wykładać, — obruszył się niechętnie; — Jański pędził nie swoją parą, i to go zgubiło.

— Jakto nie swoją?..

— A rozumie się, spekulował cudzemi kapitałami; ja bym tego nie robił, gdybym się bardzo pewnym nie czuł.

Fatt *sen*. głowę podniósł i spojrzał w oczy synowi.

— No, mój drogi, — rzekł — i ty obracasz cudzymi pieniędzmi.

Karol wpatrzył się w niego ze zdumieniem.

— Jakto cudzemi?

— Przecież masz w swojej ręce posag Lizy, udział Krzysia, majątek twojej żony, naszą część dożywności!..

— Ach, o tem ojciec myśli! — odrzucił uspokojony — to nasze, rodzinne, ale Jański miał kapitały obcych ludzi.

— A widzisz, tembardziej zawinił — przerwał mu stary z westchnieniem ubolewania. — Miałem ja i z tobą pomówić — dodał — o twoich nowych przedsiębiorstwach, które podejmujesz. Nie bardzo mi się to wydaje stosownem. Dziesięciu srok za ogon nie można utrzymać. Po co ci było kupować Buraków, zakładać towarzystwo akcyjne na kopalnię krymskie? Teraz znów jak słyszę wchodzisz w jakąś nową spółkę eksploatacji węgla. Czy ty dasz temu wszystkiemu radę, Karolu.

Młody Fatt niemal z politowaniem spojrzał na ojca.

Wzruszył niechętnie ramionami i ręce włożył w kieszenie; oczy przymknął i jakby się namyślał, czy warto odpowiadać na tak błahie zarzuty, odezwał się:

— Jak to widać, że ojciec nie pojmuje dobrze interesu! A czy ojciec wie, że dzisiaj cukier przynosi kolosalne dochody, że Buraków daje trzydzieści procent dywidendy, że jak będziemy mieli własne żelazo i własny węgiel, to możemy złoto robić całymi sztabami w naszej fabryce?.. przecież to wszystko takie proste, takie jasne, tylko ojciec tego nie może zrozumieć. Co innego zaczynać interes z dziesięcioma palcami, a co innego mieć krocie do pomocy. Ojciec się musiał dorabiać, a ja gotowego czerpię i byłbym głupi, że bym milionów nie zrobił, kiedy gotowe leżą prze-

demną. Majątek zobowiązuje,—ja to powtarzam sobie nieustannie i dotychczas jakoś, przyzna ojciec, moja zasada mnie nie zawiodła.

Zapomniał w tej chwili o stratach, jakie mu upadek Jańskiego ściągają, ale postanowił nie wspominać o nich ojcu. Stary byłby tego nie zrozumiał, jego zacofane rozumowania byłyby wyciągały fałszywe wnioski, przeraziłby się niepotrzebnie. Trudno! frycowe trzeba w każdym zawodzie opłacać.

Karol uznał za stosowne nie przyznawać się do tych pierwszych niepowodzeń w spekulacjach na własną rękę.

Pierwsze koty za płoty.

Miał nadzieję tę szczerbę załatać tak, aby jej nikt nie zauważył, zwłaszcza ojciec ze swemi uprzedzeniami, ze swemi moralami nudnemi, nie-stosownemi, przesadzonemi...

Dochód z Burakówka miał pokryć w pierwszym roku passiva, a potem—potem, ho ho!.. nie złapią go już więcej; rodzonemu bratu nie zaufa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z ZIEMI ŚWIĘTEJ.

Są na globie ziemskim miejsca, które po wieki wieków jego istnienia budzić będą w ludziach wzruszenia i wrażenia, nie tracąc nigdy na sile. Czyny, spełnione tam niegdyś, zdają się błędzić widmem swoim po starym gruncie i wyobrażnia nasza odnajduje je wśród obrazów natury, będącej niegdyś ich świadkiem. Judea—Ziemia Święta musi trzymać miejsce pierwsze wśród tych, na całą wieczność ziemską w wielkość przeszłości swojej obleczonej, punktów świata, i wrażenie, jakie wywiera na mających oglądać te miejsca, niełatwo daje się określić przez słowa. Pragnąc nie uronić nic z wrażeń i uroków, których łaknęły oczy moje i stosując też do tego kierunku podróży mojej, płynąłem morzem ku miejscu, które miało tworzyć proscenium dla obrazów mojego widzenia. Przylądek, głęboko wrzynający się w morze, ukazał mi najpierw miasto, jakgdyby występujące wprost z łona wody, białe się murami swemi—wdzięczące się niemi do podróżnika—aby go złudzić. To Tyr, przeklęty przez proroków i ukazujący się oczom marą fałszywą, która prędko się rozwiewa, gdy zbliżysz się do niego, gdy dostaniesz się do jego wnętrza, gdzie trzeba mi było przepędzić noc, zaopatrzyć się w przewodnika i konie. Kilka domów, zbudowanych od strony morza w amfiteatr, ludzaco wzrok pociąga, miasto zaś samo nędzne jest i zacieśnione; po jego ulicach widzisz błądzące kozy, czarne kudłate z długimi uszami. Wał piasków, przywianych tu wiatrem z pustyni, tworzy dlań jedyny szaniec obronny, ale przed tobą wznoszą się pierwsze wyniosłości Libanu i, gdy je ujrzał wśród jasnego poranku, zostawiwszy miasto po za sobą, skaliste, nagie, oczy mimowoli szukały owych kruków, którym prorok kazał ztąd przed wiekami zlatywać gromadą żarłoczną na gród grzechu, który przeklął.

Z całej przeszłości tych miejsc to jedno nie uległo zmianie. Ujrzałem wkrótce na skale kilka kształtów, dziwacznie się rysujących w przezroczystym powietrzu na jasnym tle nieba i można było wziąć je za Beduinów, śledzących kierunek drogi podróżnika, gdy nagle przypomniało mi się, że obraz podobny ujrzał i podobnemu złudzeniu uległ podróżny, o wiele lat przedemną przebywający tę drogę, poeta francuzki: Lamartine. Tak zupełnie jak jego oczom odmalowały mi się te ptaki, otoczone grozą poezji biblijnej; tak, jak on, widziałem dźwigający się poza niemi cień proroka Ezechiela, groźny, ogromny.

Już po południu stanęliśmy na miejscu, gdzie zatrzymuje się każdy podróżny: u sławnych studni Salomona. Są one oddalone o dwie mile dro-

gi od Tyru i potrzeba mi było siedmiu godzin czaau, aby się tu dostać, jadąc wciąż wśród nagiej płaszczyzny. Trzy strumienie czystej, chłodnej, obficie płynącej wody, która jakgdyby cudem jakimś wytryska z łona spalonej słońcem, suchej, piaszczystej równiny, napęniają aż po brzegi, wciąż przelewając się poza nie, trzy wodozbiory—studnie, wznoszące na dwadzieścia stóp ponad ziemię kamienne ocembrowania swoje. Woda, która się wierzchem przez nie leje bez przestanku, płynie złączona razem bystrym strumieniem, dążącym w dół ku Tyrowi, obracając po drodze koła kilku młynów. Do miasta prowadzą je wodociągi, w połowie nowoczesne, w połowie starożytne, bardzo wytwornej struktury. Pomiędzy ludnością arabską utrzymuje się po-dziś-dzień podanie o królu mędrca, który je zbudował, wydłużając się w ten sposób królowi tyryjskiemu (Hiramowi) za pomoc otrzymaną od niego przy budowaniu świątyni w Jeruzalem—za marmury i cedrowe drzewo z Libanu. Każda z tych studni ma obwodu od sześćdziesięciu do ośmdziesięciu stóp, a głębokość ich jest niezmierną. Jakim kanałem woda jest prowadzoną tu z góry? Można twierdzić niewątpliwie, że jest tu zastosowany system studni artezyjskich, który widać znała już tak odległa starożytność i trzeba też przy tem powiedzieć sobie, że niema nic nowego pod słońcem.

Wciąż odbywając drogę konno, zatrzymywałem się na popasy i noclegi w tak zwanych kanach, to jest nędznych lepiankach, przyczepionych do skały, gdzie ubogi wieśniak arabski żyje, utrzymując to życie owocem kilku drzew figowych, które zasadził sobie w rozpadlinie skały i dyniami, uprawianymi też wśród rozpadlin kamienistych. Wody tu brak wielki i piliśmy tylko tę, którą mieliśmy ze sobą, zaczerpniętą ze studni Salomona, odpoczywając i śpiąc we dnie, jadąc nocą i tak, trzymając się zawsze po brzozy morskich, przebyliśmy starożytną Ptolemaidę, spotykając coraz częściej wioski arabskie z sadami granatów, fig i morwy, aby na koniec stanąć w Galilei... Ostatni nasz nocleg już na granicy, był w lasku oliwnym, zarastającym wzgórze, poza którym leżała—Ziemia Święta!

Kiedyś, przespawszy tu noc, o pierwszym świtanu słońca spuszczały się na dół drogą, wiodącą wśród drzew oliwnych i dębów, zarośli, których wierzchołki przygryzają bezustannie kozy i wielbłądy podróżnych i ujrzeni rozciągniętą przed nami, otwartą dla nas ziemię Kanaan—Ziemie Obiecaną, wrażenie było ogromne: głębokie i słodkie, wdzięczne przytem dla oka. Nie była to ta kraina o łonie skalistym, nieurodzajna, i przedstawiająca oku aglomerat niskich skał i głębokich między niemi rozpadlin, jak to opisują nam podróżni, którzy w przeciągu jednej doby przebyli przestrzeń między Jaffą a Jeruzalem. Ale inną jest zwłaszcza Galilea, ta rodzinna strona Chrystusa—miejsce, gdzie żył z matką swą i uczniami, gdzie chodził nauczając i czyniąc cuda. Za owych czasów—za panowania Rzymian—nosiła tę nazwę cała kraina, rozciągająca się na północ od Samarytanii, między wązkim paskiem wybrzeży fenickich a tarasem gór, wznoszących się nad błękitnymi wodami jeziora Genezaret, zwanego „Morzem Galilejskim“. Przecież dawniej, w geografii judejskiej nazywała się tak tylko część północna gór Neftali. Innym jest wogóle kraj, rozciągający się po drugiej stronie wzgórz Zabulon po górę Karmelu od Tyru i Sydonu do Samaryi, do murów Syonu.

Dolina Zabulon, rozpościerająca się między dwoma łańcuchami raczej wzgórków, niżeli gór, ma środkiem swoim drogę, wydeptaną głęboko nogami wielbłądów, w kruchej, białawego koloru skale, bo depeczą ją też już cztery tysiące lat, a wielbłąd systematycznie stawia zawsze nogę tam, gdzie ślad innej, poprzedzającej go stopy spotyka. Droga ta ciągnie się niemal od przylądka tyryjskiego aż po pierwsze piaski pustyń libijskich, mając po bokach swoich rozsiane krzaki najrozmaitsze, nietracące nigdy liścia, a rzadziej drzewa o pniach węzłowatych, o rozłożystych, silnie splecionych ze sobą konarach, o ulścieniu ciemnej, posępnej barwy. Są to dęby, różniące się od europejskich liściem zaokrąglonym;

są to sykomory i jesiony—jest wiele innych jeszcze w nieznanych gatunkach dla europejskiego podróżnika, który specjalnie botaniki nie studiował, wiele drzew iglastych, podobnych do jodły i cedru. Ale najpiękniejsze są podobne do brzozy naszej przez białą korę, przez liść delikatny jasnego koloru i spuszczistość wdzięczną swych gałęzi. Wyższe są przecież znacznie i rozłożyste, o pniach potężnych i można nazwać je olbrzymami flory judejskiej, bo cała karawana może rozłożyć się obozem pod takim drzewem i pomieścić wraz z wielbłądami. Spotykają się przecież rzadko, i wogóle drzewa nie tworzą tu gęstwiny i często ukazuje się pomiędzy niemi miejsce odkryte—ławice skał białawych, albo siwo-błękitnawych, wydobywają się z łona ziemi, ukazując jakgdyby potężne kości tego starego gruntu. Ale pomiędzy niemi ziemia czarna i żyzna, łatwo uprawna, wciąż produkując, wciąż rodzi w obfitości błogosławionej jęczmień, pszenicę, kukurydzę, jeżeli ją tknie choć najłżejsza uprawa i rzuci w jej łono ziarno rodzące. Zostawiona w dzikości, nie próżnuje przecież: wydaje w obfitości, tworzącej gęstwiny, obok kolezastych krzaków cierni, lasy dzikich granatów, róż jerychońskich i ostów olbrzymich, wznoszących się wyżej głowy wielbłąda, gdy powolny, rozważny, umiający roztropnie stąpać po najtrudniejszych drogach, niesie na grzbiecie swoim człowieka lub pakunki. Jedno takie wzgórze dobrze przez oko zlustrowane—to forma powtarzająca się stale wśród krajobrazów całej Palestyny. Postępując między dwoma rzędami takich wzgórz, ujrzelśmy na koniec otwartą równinę ziemi Kanaan—rozległą dolinę Zabulon: ogród pokolenia tej nazwy.

Dwa wały wzgórz, wśród których posuwaliśmy się dotąd, teraz rozsuwają się na strony niezmiernie wdzięcznym spadkiem, niby dwóch fal, które rozplywają się łagodnie na pełni spokojnego morza. Przestrzeń, znajdującą się pomiędzy niemi, rozszerza się stopniowo, tworząc obszerną dolinę, a gdy owe wzgórzyste wzniesienia gruntu rozplyną się zupełnie, oczom ukazuje się doskonała równina, która dalej zwiężając się łagodnie, zagłębia się zwolna między dwa rzędy wzgórz. Przestrzeń otwarta może mieć wedle miary oka naszą niecałą milę szerokości a może dwie długości. Oko, patrzące w nią ze wzniesienia, na którym się znajdowałem, ścigało ją tam w głąb mimowoli, patrząc, jak zagłębia się nie tylko w ten jeden wąwóz, ale i w przesmyki innych, węższych pasm gór, tworząc najwdzięczniejsze parowy.

Nic też nie może oddać wdzięku wzrok tam pociągającego bo tworzyło to dlań, jakgdyby drogi i drożyny, wiodące do obiecanego człowiekowi raju: na łono natury wdzięcznej i łagodnej.

Wśród wyniosłości górskich znajdują się też tutaj często i nagle obok kształtów zwykłych gór, wybiegających szczytem, czy ostro cienkim, czy zaokrąglonym, płaskowzgórzem wyglądające najzupełniej tak, jak gdyby ręka człowieka, a raczej olbrzyma, wierzchołek równo ścięła, czyniąc tu miejsca czemuś—ołtarzowi może? Takich górzystości, zdających się być piedestałami, zobaczy podróżnik wiele, gdy zwiedzi dalsze okolice ziemi Kanaan. Czworograniastego kształtu, naprowadzają one na myśl, że były to może niegdyś strażnice, forty obronne dla ludu, rozsianego wśród dolin; czy przecież nieliczny naród izraelski mógłby wzniesić takie olbrzymie cytadelle ziemne, jakich—jak już ktoś o tem napisał—nie zdołałaby usypać armia Xerksa? Naturalne te warownie, wznoszące się w wstępie i na końcu każdej rozleglejszej doliny Galilei i Judei właściwej, niemal zmuszają wyobraźnię podróżnika, aby tworzyła sobie obraz jakiegoś starożytnego miasta, rozsianego tu bezpiecznie i spokojnie pod ich strażą. Przed wzrokiem dzisiejszego podróżnika piętrzy się tylko jeden ponad drugim łańcuch gór potrójny, z których często spuszcza się spienione huczące potoki, użyźniając doliny i tworząc wśród nich jeziora, parujące pod gorącymi promieniami słońca i wytwarzające następnie te mgły, białe i błękitnawe, które wieszają się fantastycznie po stokach górskich. Do najwspanialszych dekoracji natury tamtejszej przyczyniają się te mgły, gdy wschodzące słońce wzbija się po

nad nie i koloruje je w łamiących się odcieniach barwy różowo-złotawej, a kilka najwyższych szczytów gór libańskich dźwiga się ponad tem w odosobnieniu, przypominając ludziom wieżę Babel.

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Londynu.

(Dokończenie).

Pałac Ludu został przyjęty pomiędzy instytucje publiczne i jako taki otwiera podwoje dla każdego, kto tu wejść chce bez żadnych ograniczeń i legitymacji. Opłata za wejście jest bardzo mała: dwóch lub jednego penny, czyli od pięciu do dziesięciu waszych groszy, ale to tylko dla gości przygodnych. Kto się zapisze na stałego członka, a takich jest blisko pięć tysięcy: (4.809) nie płaci już potem za wejście nic, albo bardzo mało, i ma prawo korzystać ze wszystkich dogodności, przyjemności tej błogosławionej instytucji. Członkowie sekcji kształcenia powinni mieć w oddziale starszych od lat szesnastu do dwudziestu sześciu, w oddziale młodszych od trzynastu do szesnastu. Opłata w sekcji kształcenia oddziału starszych jest dla młodzieży męskiej trzy szylingi kwartalnie, lub jedenaście szylingów rocznie, młodzież żeńska płaci połowę tej ceny, z dodatkiem jednego szylinga wpisowego. W oddziale młodszych opłata od chłopców jest cztery pensy miesięcznie i za to młódź ta, oprócz naukowych pomocy, które zakład daje w różnych działach swoich przez bibliotekę, odczyty ogólne, ma dla siebie wyłącznie urządzone klasy rysunku, stenografii, oraz odczyty w zakresie naukowym, odpowiednim dla ich wieku. Przytem *Junior Section* ma oddzielnie dla siebie urządzone rozrywki.

Mnóstwo dzieci pogarnęło się do tego ostatniego oddziału, tak że względu pobieranej tu nauki, jak i rozrywek, prowadzonych bardzo starannie z przewodnią myślą pedagogiczną, ujętą w systemat.

Plan obu tych oddziałów był przedstawiony najpierwszym powagom tak w zakresie wychowania, jak i nauczania, i trzeba dodać na chwałę Anglii i obywatelskich uczuć, obywatelskiego sumienia Anglików, że nikt z pedagogów, nikt z uczonych mężów i niewiast pracujących na polu wychowania, nie odmówił tu pomocy zdania swego. Gdy przecież w oddziale młodszych nastąpiło przepełnienie, zarząd musiał ograniczyć liczbę uczniów od 250—300.

Jako rys charakterystyczny w psychologii Anglii i Anglika—trzeba tu dodać, że gdy w sferach ministerjalnych podniesiono w ostatnich czasach myśl bezpłatnej, ale przymusowej nauki dla dziecka uboższego, dyskusje przedwstępne wykazały, że prawo takie nie przeszkodzi przez uchwałę Izby.

W dziale rozrywek *People's Palace* urządzone są w pewnych odstępach czasu wyłącznie dla dzieci dawane przedstawienia teatralne: teatr marynetek, sztuki czarnoksiężkie, sztuki psów tresowanych. Ze dziecku klas ubogich, brakuje wszędzie rozrywek, zwłaszcza rozrywek pedagogicznie dobrych, jest rzeczą wiadomą; ale brak ten nigdzie nie jest tak wielkim, jak w Londynie, którego rozległość i przeludnienie sprawia, że dziecko rośnie tam, jak w jakiejsz tłoczni moralnej i wszelkiej swobody, widoku natury jest całkiem pozbawione: więc wyobraźnia jego nie rozwija się i tępieje, przyrasta poziomem do ciasnego otoczenia swego. Są tu myśliciele, którzy nietylko przez mglisty klimat Londynu tłómaczą pijaństwo jego ludu.

Człowiek ma tak daną sobie od natury myśl lotną—władzę wyobraźni, jak ptak skrzydło. Gdy możność tego wlotu poza krępujący go, ciasny krąg istnienia, zostaje mu w naturalnych warunkach istoty ludzkiej odjęta—zostaje w nim przemocą zatamowana, szuka on wtedy w walce

z krępującymi go tak wpływami sztucznego ujęcia dla tych skłonności wrodzonych i—upija się. Tracąc świadomość rzeczywistości, wyrwa się poza nią i przywraca sobie na złej drodze to, co mu siła okoliczności na dobrej odjęła, pozbawiając go wielkiego istoty ludzkiej przywileju: zdolności wznoszenia się w dziedzinę ideału. Człowiek żyjący „na świecie, ale nie dla świata“ wie, że istnienie spaczono; ale spacza je sobie gorzej ten, kto wśród tego świata wegetuje, jak roślina, bez wzruszeń i chęci—bez żadnych porywów szlachetnych istoty ludzkiej. Do zasług *People's Palace* należy też to, że pomyślano tu o dobrej rozrywce ludu, poczynając od dziecka. Oprócz dwa razy na tydzień odbywających się koncertów, oprócz książki, bawiącej przez uniesienie wyobraźni poza sferę codziennego otoczenia, wystawy i bazy wszelkiego rodzaju dostarczają niemal bez przerwy uczestnikom *Palacu Ludu* zajęcia i dobrej rozrywki, obznajamiającej ich z płodami cywilizacji nowoczesnej. Sprawozdanie, które z pierwszego na drugi rok istnienia tej instytucji złożone zostało Towarzystwu Dobroczynności Beaumonta (Beaumont Trust) wykazuje, że urządzono tych wystaw bez liku w najrozmaitszych kierunkach. Była wystawa kwiatowa, wystawa gołębi i ptactwa śpiewającego, ptactwa domowego, wystawa małą, koni i osłów, wystawa z zakresu sztuk pięknych i rzeźby, obrazów, sztuki stosowanej do przemysłu, sztuki domowej i dekoracji pokojowej. Oprócz dobrego w dzień świąteczne zajęcia czasu, oświecającej rozrywki, przedstawiały one rzemieślnikowi wzory kształtujące smak i podnoszące wyobraźnię artystyczną.

Członkowie zawiązali też pomiędzy sobą stowarzyszenie śpiewackie, którego chóry, naksztalt waszej *Lutni*, dają koncerty, tak lubione, jak według dzienników waszych koncerta wspomnianej *Lutni*. Towarzystwo gymnastyczne męskie i kobiece wyprawiło turniej gymnastyczny wcale pokazny i nawet można powiedzieć: świetny, bo cały *Pałac Ludu* i dziedzińce, gmachy przyległe, bywały illuminowane kolorowanymi lampami chińskimi i flagami, co podnosiło bardzo efekt. Przedstawienia turnieju dawane były przez sześć tygodni i sprowadziły, według bardzo ściśle prowadzonego rachunku, trzykroć sto tysięcy widzów.

A jakich? „Times“ napisał, że były to „tłumy postaci, jakich nigdy przy świetle słonecznym nie oglądano wśród tych dzielnic Londynu, gdzie może postać gentleman lub przejechać się kobieta, o której mówiąc, zowie się ją *lady*—tłumy, które nie zaznały nigdy rozkoszy uczestniczenia w zabawach publicznych, doświadczyły ich poraz pierwszy“.

Przy oddziale zabaw jest stale urządzone bufet, zostający pod zarządem nadzorczym tej sekcji. Jedzenie tanie, odpowiadające środkom i nawiąknieniom klas robotniczych Londynu, tylko że zdrowe, że przyrządzone czysto, podawane tam jest po cenach, przyjętych w garkuchniach ludowych i tylko nie dostarcza się tu napojów gorących, o co przecież prowadzi się spór zawzięty między członkami zarządu, dzielącymi się na dwa obozy. Partya przegłosowana nie przestaje dowodzić, że *Pałac Ludu* powinien nie cofać się przed niczem, co znajduje się w obyczajach i nawykniennych życia ludowego—przed szynkownią z *ginem* i *wiskym*, ale uczciwą, bez złych przynęt, bez zetknięcia z pijakami nałogowymi—z towarzystwem, które pociąga za sobą do zguby słabych, nie uzbrojonych dostatecznie przeciw złemu przykładowi przez wyższe wyrobienie umysłu i podniesienie przez to instynktu moralnego.

Oddział oświaty ludowej dzieli się na dwie części, na dwa zadania: pierwszym jest uczyć młodzież nieletnią w szkołach technicznych w dzień; drugim uczyć dorosłych wieczorami, w chwilach wolnych od pracy na zarobek, uzupełniając ich wykształcenie umysłowe, doskonaląc ich w zawodowej pracy i w rozmaitych gałęziach sztuki stosowanej do przemysłu,—i w popołudnia sobotnie, bo w Anglii wszelka praca w warsztatach ustaje w dzień ten od południa. W szkołach chłopców nauczyciele zwracają pilną uwagę na kierunek zdolności ucznia, a nauka zawodowa,

jaką dostają, już ich uwalnia od tak zwanego terminowania u majstrów, a przynajmniej zmienia jego warunki i czas trwania tego ciężkiego nieraz nowicyatu rzemieślniczego. Chłopców uczęszczających do szkoły *Palacu Ludu* nie odrzucają przeznaczani do tego lub owego rzemiosła, gdy to nawet jest wolą rodziców i ich samych. Bada się tu najpierw skłonności i zdolności, pozwala się im objawić i wykazać kierunek swój i siłę, na co przeznaczoną jest wyłącznie klasa pierwsza i kształci się tu głównie zręczność, uwaga się rozwija, rozjaśnia umysł i w drugiej dopiero klasie zaczyna się kształcenie specjalne w warsztatach i laboratoryach; a uczeń ma już wtedy rok czternasty. Dlatego nie przyjmuje się tu wcześniej, bo kandydat obowiązany jest skończyć, co najmniej, pięcioklasową szkołę elementarną, lub zdać odpowiedni *examin*. Dzieci rodziców zamożniejszych nie są tu dopuszczane, choć ciśnie się ich nie mało, ale *Pałac Ludu* chce być i jest rzeczywiście instytucją czysto ludową. Obecnie płaca za naukę wynosi tygodniowo szylinga, wasze dwa złote, ale jest zamiar niżenia tej opłaty, choć na 166 chłopców, uczęszczających do szkoły w roku bieżącym, jest 75 stypendystów.

Szkola ma oddziałów cztery: 1) stolarski i ciesielski 2) mechaników i maszynistów; 3) ślusarzy, mosiężników i w ogóle obrabiających metale, 4) rysowników. Wszyscy bez wyjątku uczą się matematyki, fizyki i początków chemii, w warsztatach zaś pracują mniej więcej cztery godziny tygodniowo. Naucze języków nowożytnych poświęca szkoła dwie godziny dziennie, tyleż czasu naucze rysunku, a obowiązkowo wszyscy uczą się gymnastyki i pływania. Na kursa wieczorne dla dorosłych uczęszczać mogą przecież i chłopcy, którym już pracowite zajęcia dnia nie pozwala na naukę w szkole młodszych. Kursa wieczorne dopuszczają na wykłady swoje i kobiety: słuchaczy obu płci wszelkiego wieku, a składają się one z sześciu oddziałów: 1) Praktyczna nauka rzemiosł, 2) wykłady nauk ścisłych i stosowanych, 3) wykłady z zakresu sztuk pięknych i nauka rysunków, 4) nauka muzyki i śpiewu 5) nauka prowadzenia ksiąg handlowych i języków nowożytnych; przysposabianie do służby rządowej i pocztowej, telegraficznej, akcyzowej, celnej, przygotowanie do *examinów* uniwersyteckich, 6) wykłady specjalnie dla kobiet, nauka gospodarstwa domowego i kucharstwa. Wszystkie te wykłady są podparte praktyką, stosowaną w laboratoryach i gabinetach. Opłata nie przechodzi na żadnym z kursów 15 szylingów kwartalnie, przecież zarząd pragnąc przypuścić tu do nauki ludność uboższą, pragnie niżzyć do połowy opłatę w klasach tak dziennych jak wieczornych, czyniąc ją jednostajną dla wszelkich wykładów, bo zdarza się, że w klasach ubogich względ pieniędzy, a nie wybór powstający ze skłonności naturalnych, kieruje wyborem nauki. Gymnastyka ma tu swoje oddzielne pomieszczenie: obszerny lokal letni i zimowy, gdzie mężczyźni za półtora szylinga, kobiety za szylinga kwartalnie a dzieci zupełnie bez opłaty uczą się obok gymnastyki ćwiczeń atletycznych: fechtowania, boksowania, gymnastyki wojskowej. Na gymnastykę uczęszcza półtora tysiąca mężczyzn i 400 kobiet.

Może zdziwił was ten suchy spis — katalog oświaty, której może tu szukać, którą może znaleźć każdy poza gościnnie otwartymi podwojami *Palacu Ludu*. Ale zestawcie to sobie w jeden obraz i postawcie przed myślą, jak starannie, jak można powiedzieć: tkliwie, obmyślano to wszystko dla dobrobytu tych tysięcy, które z dobrodziejstw instytucji korzystać mogą. A przecież to nie wszystko jeszcze. Uczyć się—to rzecz wielka, bawić się niekiedy, to rzecz potrzebna, bo człowiek potrzebuje pracy, rozrywki, któraby mu wróciła tę elastyczność jego ludzką, której sprężynami jest rozbudzona myśl, uczucie, wyobraźnia—elastyczność potrzebną, aby nie stał się obojętnie maszyną, a raczej kółkiem jednym w wielkiej maszynie, za nędzną cenę tej trochę oliwy, broniącej, aby nie było tu szkodliwego tarcia. Ale to nie wszystko. Człowiek każdy ma jeszcze poza tem swoje społeczne zadania i społeczne potrzeby: jeszcze na pomoc życiu trzeba mu związków z ludźmi, za-

dzierzgujących się w węzeł uczucia przyjaźni, miłości... Ci, którzy budowali gmach *Pałacu Ludu*, pomyśleli i o tem: o towarzyskich stronach człowieka pracującego, o jego uczuciach—i oto urządzono tu dwadzieścia jeden klubów, których zadaniem jest rozłożyć na pojedyncze grupy te tłumy, które sproszone gościnnie w otwarte dla każdego podwoje. Jest klub muzyczny, deklamacyjny, literacki, dramatyczny, bilardowy; klub rysowników, śpiewu chóralnego, muzyki wojskowej, muzyki orkiestrowej, pływaków, bokserów i tam dalej. Każdy z klubów owych ma swoje oddzielne pomieszczenie w Pałacu — apartament złożony z wielu pokoi, a utrzymuje się i bawi za grosz składkowy członków, lokowany we własnej, wspólnej kassie. Każdy z takich klubów ma osobno prowadzące doń wejście, co daje mu cechę jakgdyby pomieszkania prywatnego, jakim też jest w gruncie rzeczy, bo wybór członków dokonywa się tu najzupełniej własnowolnie, bez żadnego już nadzoru i krępujących pod tym względem przepisów z tem jednym tylko, że ogranicza go zakres instytucji. Kluby noszą za sobą tę wielką korzyść, że nie dają się gubić jednostkom w tej agglomeracji ludzkiej, jaką *Pałac Ludu* gromadzi i dają ujście przyrodzonym uczuciom człowieka, który potrzebuje, poza miłością bliźniego, ukochań pojedynczych, powstających na gruncie sympatii, danej człowiekowi dlatego, aby miał w piersiach uczucie gorące, na użytek jego własnego szczęścia mu dane.

Urządzenie klubów pragnęło też uratować dla uczestników *Pałacu Ludu* indywidualność uczucia. Jest tam pomiędzy innemi klub dziewcząt; mieści się on na dole, z własnym ogródkiem pod oknami, a oddzielone jest to wszystko tak starannie, jakgdyby był to jakiś dom rodzinny. Są tam salony, saloniki i gabinety: do muzyki, do szycia, do pogawędki; jest czytelnia ze stosownym doбором książek, a temu wszystkiemu przewodniczy matrona: kobieta w średnim wieku, zasługująca na szacunek, przytem rozumna i oświecona, zdolna dobrze kierować tą młodzieżą, której uznanie a nawet sympatya, zyskać sobie umiała. Ale kluby reprezentują więcej indywidualną stronę uczuć i dają przyjemności jakoby rodzinne. Pomyślano też i o innych, odpowiadających jakgdyby gościnnym zebraniom wśród rodzin. Bywają wieczorki, jakoby herbaty prozowne, i było takich zebrań w Styczniu dwa, z powodu przybycia nowych członków (500) którzy mieli daną sobie tym sposobem sposobność poznamienia się z towarzystwem, do którego weszli. W roku zeszłym, oprócz dwóch takich herbacianych wieczorów wyprawiono cztery wieczory tańcujące, nie tylko dla członków, ale i ich rodzin, oraz przyjaciół, urządzone w wielkiej sali, czyli w „Sali Królowej“. W jesieni, w czasie uroczystości, które nastąpiły po odbytych examinach, a raczej lustracji, jakim był postęp uczącej się tutaj młodzieży — jakie korzyści przyniosła w ogóle instytucja *Pałacu Ludu* — odbyły się także na prośbę uczestników dwa tańcujące wieczorki w sali gymnastycznej; w każdym z tych dwóch zebrań, brało udział przeszło tysiąc osób; przecież nigdy nie było żadnego dyssonansu, który-by zakłócił harmonią wesołej zabawy — nie, coby było rozruchaniem, — żadnego zatargu, wywołującego potrzebę przyzywania do porządku.

Dzieci miały też swoje zabawy: gry tak w salach pałacu, jak i na świeżem powietrzu, a nawet i poza miastem. Zarząd Starego Miasta, bo *City* ma swoją własną administracyą, oddzielną od reszty Londynu, oddał na użytek oddziału dzieci obszerny łąn gruntów podmiejskich, rozległości kilku stajów i urządzono tam pole zabaw, głównie gry w piłkę i w krokiet, a zarząd kolei żelaznej Great Eastern Railway zniżył cenę biletów i w pogodny czas letni wagony tej kolei wydłowywały w całe pułki uszczęśliwionej dziatwy — biednej ubogiej dziatwy, która inaczej mogłaby nie mieć pojęcia, co to jest przestrzeń otwarta, co to jest widnokrąg nieba. Trzeba tu żyć: znać Londyn, jego ludność ubogą i dzieci, które rosną w dzielnicach wschodnich, aby zrozumieć: jaką może być nieświadomość ludzka — nieświadomość o moralnym i materyalnym świecie, na którym te

istoty ciemne żyją, niemal jak zwierzątka lub rośliny.

Czem też jest dla tej nędzy, dla tej ciemnoty *Pałac Ludu* zrozumieć dopiero można, czytając sprawozdania jego zarządu. W pierwszym roku sprawozdawczym liczba osób, które znalazły w nim chwilę ucziwej zabawy, rozkosz rozświecenia sobie myśli ciemnej, jak noc bez gwiazd i księżycy — które w nim odetchnęły pełniejszą pierśią, przechodziła półtora miliona ludzi, a w tej liczbie Niemieszczą się bynajmniej ani członkowie, ani uczniowie szkół miejscowych. Jako rys charakterystyczny dodać tu należy, że wśród takiego gromadzenia się ludzi z warstw nieukształconych „nie było ani jednego zakłócenia porządku, ani jednej gwałtownej awantury“. Wiele w tem znaczy takt i rozum jego zarządu; że przecież instytucja ta umoralnia, podnosi i oświeca, że roznosi światło wśród ciemności, jest rzeczą niewątpliwą. Działać tak można tylko środkami, które są rozszerzeniem horyzontów myśli, tylko działaniem oświecającem i łagodnym wpływem pewnego uprzyjemnienia życia, łagodnem wskazaniem drogi, która do tego wiedzie; mamy tu przed sobą dowód tego niezbity. Poeta, bo tak trzeba nazywać Waltera Besanta, odczuł to magnetycznie w objawieniu, które mu dało jasnowidzenie jego wyższego ducha, prorokował, pisząc powieść swoją, i oblekły się ciałem życia widzenia, ze szlache-tnych pożądań jego zrodzone. Jest to największa nagroda, jaką pisarz otrzymać może za twórczą pracę swoją i na pomoc dla takich-to, jak on ludzi, zawołać trzeba ze starym poetą słowami przytoczonego już wyżej wiersza do Kolumba, puszczającego się na morze zjawisk, oglądanych jedynie w jasnowidzeniu ducha:

Wierz tylko Bogu twemu i falam powodzi,
Choćby tam nic nie było, to grunt się urodził!

Ponieważ pismo wasze prowadzi kronikę wybitniejszych czynów kobiecych, załączam wiadomość o szlachetnem wystąpieniu matki Parnella wobec zarzutów czynionych jej synowi, że pozwała jej żyć w ubóstwie, będąc zamożnym. Sędziwa już kobieta zwróciła się do korespondenta gazety „New York Herald“ z protestacyą, dowodzącą, że syn jej jest tak ubogim, jak i ona. Tylko najbliżsi jego wiedzą, ile pieniędzy pochłoniął proces z *Times'em*, a posiadłości jego ziemskie nie mu nie przynoszą, obdłużone do możliwej wysokości. Z funduszków grosza publicznego, którym zarządza, nie bierze on dla siebie nic — nic zgola. Podarek otrzymany od rodaków w summie 40.000 funt. ster. użyty został na spłacenie tych długów, obciążających hypotekę dóbr, które byłyby sprowadziły wywłaszczenie natychmiastowe i oddanie niewątpliwe w ręce Anglików ziemi. Parnell, jak ta staruszka matka jego wykazała, jest tak biednym, iż nie zawsze cieszy się posiadaniem pięciu funtów ster.

Ponieważem się rozpiśałem szeroko w jednej sprawie, która jest w przekonaniu mojem i ciekawą i piękną, odkładając na bok inne, również godne wiedzy waszej, więc wkrótce będziecie mieli ode mnie list więcej urozmaicony.

A.

ECHA LITERACKIE.

18. Zygmunt Heryng: „*Rubel*“; historia przy- czynny wahań i środki ustalenia papierowego rubla; studjum ekonomiczne; Warszawa, nakładem księg. Paprockiego i Sp. druk E. Skiwickiego, 1890; str. 142 — 8°. Jakkolwiek proponowany przez p. H. (str. 111 — 113) środek podzielenia całej masy papierów w obiegu na 4.000 seryi, urządzenia z nich loteryi i spłacania rokrocznie dwustu, złotem lub jego równowartością — ostatecznie praktycznym być nie może, zawsze jednak zostanie

w wydanej rozprawie sporo spostrzeżeń, faktów i prawd pożytecznych, których przedstawieniem autor dowiódł i znajomości literatury przedmiotu, i ogólnego wykształcenia ekonomicznego, i wreszcie zdolności do samodzielnego myślenia — dość rzadkiej wpośród ludzi pisujących książki przygodne. Za jego sympatya do znaku obiegowego, niebędącego ścisłym banknotem — niech go przed trybunały swoje ciągną ekonomiści z profesyi.

Rozprawę o rublu zamyka p. Heryng w sześciu rozdziałach, z których najważniejszym jest trzeci, rozbiegający: na czem się opiera rubel papierowy i dlaczego kurs jego się chwieje. Wywód swój poprzedza autor krótką historya rubla zarysowaną głównie przy pomocy dzieł J. Blocha (*Finanse Rosyi*) Bryknera, Brzeskiego, Kaufmana. Narodził się tedy rubel konwencyonalny jako znak wartości rubla rzeczywistego po wojnie z Polską (1654 — 1657), za Cara Aleksieja Michajłowicza, i był z początku miedzianym, nie papierowym. Przymusowy jego kurs tak obwarowano, że gdy z mocy praw natury społeczeństwo domagać się zaczęło wartości rzeczywistej w miejsce urojonej, musiano przeciwko niezadowolonym użyć siły zbrojnej. Po kilku latach zarzucono niefortunna metodę zaopatrywania społeczeństwa w środki obiegowe; ale nowa metoda, już za Piotra W. przyjęta, niewiele skuteczniejszą i lepszą była od dawnej, a przytem toczył ją jeszcze systematycznie nieodstępny metod takich towarzyszy: — robak fałszerstwa. Daremnie Piotr Wielki nakazywał wlewać fałszerzom miedź roztopioną w gardła, a gdyby jeszcze od tego nie konali, ścinać im głowy „dla skrócenia cierpień“. Dopiero w r. 1768 zamęt i niedola zęby trochę sobie stępiły o Bank Asygnacyjny.

Zajmujące jest w rozprawie p. H. przypomnienie, szacherek monetarnych wielkiego Fryca, używanych w walce z Polską. Wypuszczał ten wielki człowiek frydrychsдоры, w których prócz pozłoty, nie złotego nie było. Takie są naprzykład sztuki z roku 1751, 1754, 1758, 1760. Frydrychsдор z lat 1754 — 7 miał złota tylko za 3 talary i 10 sr. groszy, a z r. 1759 — za 1 talar i 15 sr. gr.

Wykładowi jakiś cięższych zarzutów formalnych stawiać nie można: i myśli postępują porządnie i słowa układają się dość gładko. Haniebne są tylko pewne określniki „amplifuda“ (! — str. 114); „dewaluacya, stale zamiast: „dewaluacya“ — od łacińskiego *valere, valui*; „zapotrzebowanie na jego znaki kredytowe“ (str. 44) — samo już „zapotrzebowanie“ wygnąć z języka potrzeba; „zapatrywań“ (str. 46) zamiast „poglądów“, a w każdym razie „zapatrywań się“ i t. d.

Firma nakładowa zapowiada wydanie dzieła p. Zygmunta Herynga p. t. *Logika ekonomii*. Zapowiedź obudza żywą ciekawość.

19. Rzewuski, hr. Stanisław: „*Hrabia Witold, Powieść*“; Warszawa, skład główny u Gebethnera i Wolffa 1890, druk *Przeglądu Tygodniowego*; str. 1 — 455, in 12°. Na początku bieżącego roku p. hr. Rzewuski, znany już z autorstwa kilku scenicznych i niescenicznych dramatów, wystąpił w Warszawie z pięcio-aktową sztuką *Ostatni dzień Don Juana*, wzmacniając jej pozycyą na scenie obszernym komentarzem w *Kurjerze Warszawskim*. Komentarz nie uchronił sztuki od ciosu przeznaczenia: upadła z powodu swoich dziwactw. W *Hr. Witoldzie*, drukowanym przez *Przegląd Tygodniowy* z r. 1889, mamy znowu Don Juana: widocznie p. R. rozmiłował się w tym *Poszukiwaczu ideału czystej miłości* — bo nas autor uczy, że taka jest treść duchowa Don Juana jako typu. Jeżeli bohatera z *Ostatniego dnia* nazwać potrzeba Don Juanem-demonem, ten może mieć prawo tylko do nazwy Don Juana-mazgaja. Nie zabija hr. Witold nikogo, nie uwodzi cynicznie, nie wydziera nic własnemu bratu, nie dostaje policzka od własnego dziecka: tylko się kocha przez lat kilkanaście, zdaleka i zblizka, w śpiewaczkę paryżkiej, czarującej go w „arcydzielach“ Offenbacha, a przez cały ten czas, pomimo podsunęcia się już pod pięćdziesiątkę, ma taką minę jakby Romeo prześladowany Rozalindą: płacze, tęskni, wydziera się, rozpacza — w skonaniu jeszcze chce przynajmniej słyszeć Offenbacha, gdy już nie mo-

że widzieć najdroższego swego ideału. Niewątpliwie Klara Vitrac musiała dostać od autora jakiegoś czarownego ziela: naparzyła je i dała do wypicia biednemu Witoldowi. Zdrowy rozsądek wobec tego lubczyku broń składa. Opętany poszukuje miłości tak idealnie, iż nawet wzajemności nie żąda: wystarcza mu spojrzanie kobiety, która uśmiechami i nieuśmiechami swemi obdźwiała tłumi. Jest to patologia, nad którą można robić studia, nawet że stanowiska powieściopisarzkiego, ale z której niepodobna wykroić rzetelnej, żywych i zdrowych ludzi wystawiającej powieści. Tak też podobiał autor otoczenie Witoldowi, tak przygody ponakręcał, że tylko chorobliwością wszystkich mógł bohater własną swoją ocalić przed wstrętem doraźnym, jak budzi wszelki gwałt zadany prawdzie; ale ostatecznie cały jak jest, jest on jednym tylko fałszem. Mało powiedzieć, że ludzie w powieści hr. Rzewuskiego chorują na nerwy: oni nic więcej prócz nerwów w sobie nie mają. Chorobę, której ulegają, możnaby określić chorobą sumienia. Żadnej w nich ciągłości, żadnej przyczynowości psychologicznej, ani cienia odpowiedzialności. Faktą wpadają w bezdeń; nie tam nie wydaje skutków, nie nie powoduje objawów. To nie charaktery, ale jakieś węzły i strzępki. Mazgajstwo Witolda jest jego siłą. — Dwie kobiety i żona, która dla niego z majątku ojczystego się wyprzedaje, za niego długi płaci i w domu swym daje mu przytułek, i Kicia „pobożnie wychowana dziewczynka” — same wpadają mu w paszczę. Don Juanizm urokiem swoim wszystko podbija. Całość sprawia wrażenie obrazu ukazanego przez szkło w różnych kierunkach porznięte. Niepodobna niczego pochwycić — chińskie cienie! — Nie zapomniał autor i tutaj o policzku — ba, za mało mu było jednego, aż pięć ich wymierza Kici ręką zazdrosnej żony Ludwika. Można sobie wystawić łomot, z jakim sztuka wykrojona z powieści padała w Paryżu. I po policzku znowu cisza, w której „pobożnie wychowane dziewczę” namawia Witolda do ucieczki. Ale Witold ucieka bez Kici, — do swojej Klary, dostawszy niewiadomo już który policzek, a wraz z nim i kilkaset rubli na drogę. Anglik Macpherson w szulerni paryskiej sprzedaje mu cicho usypiającą truciznę. Po wyjeździe Klary do Ameryki bohater nie ma już co robić: powraca, wypija elixir i usypia cicho. Dobra żona przygrywa mu Offenbachem do śmierci. Słowem: dziwaństwo, poparte jeszcze niedorzecznościami wycieczkami przeciwko literaturze naszej i zestawieniami z francuską, niezrozumieniem zupełnym wszelkiego uczucia ogólniejszego, — i wreszcie — licznymi błędami języka, z których Redakcja *Przeglądu Tygodniowego* miała obowiązek oczyścić utwór pana hrabiego. Jest kilka ustępów dobrych. Styl wogóle wyrazisty, dobitny, tylko tok myślenia nieco za rozwlekły. Jest to skutek tych majaków pokutujących w głównym charakterze. P. Rzewuski ma talent — szkoda, że go marnuje na takie temata leżące na bezdrożach jego myśli.

20. Poezye p. Józefa Stanisława Wierzbickiego. W czasach, kiedy miłość tyle u nas narodziła piersi — w wierszach — z obawą braliśmy do ręki nowy wierszozbiór, wyszły spod pióra p. Józefa Stanisława Wierzbickiego pod t. *Zosia. Księga pamiątek* (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1890, druk Wł. L. Anczyca i Sp. w Krakowie; str. 1 — 131, 133/4 spis — 12-0). I tu również miłość, i tylko miłość, dyktowała autorowi różnostopowe wiersze, ale, choć są w nich *otchłania* i *nieba*, *burze* i *groby*, *anioty* i *demony*, rozdzierania piersi niema. Widok takiej operacji nikomu przyjemności nie sprawia, a dla krytyki, którą już tyle razy nim darzono, — nie będąc wprawdzie rozdzierającym, jest już wręcz nudnym. No, i sama miłość wyspiewywana w wierszach bardzo już dziś zajmującą być nie może. Co tu nowego zaśpiewać po tylu już śpiewakach? Trzeba mieć wielce oryginalną lirę, rękę, głos — duszę, aby prawdziwie zająć historią własnego swego serca, którą każdy zgóry już poznał na samym sobie. Oryginalności rzetelnej p. Wierzbicki nie posiada; zdarza się mu jednak zaśpiewać coś, co nie jest banalnym powtórzeniem rzeczy dawniej już przez kogo innego i lepiej powiedzianych.

Cały poemat *Zosia*, zajmujący pierwsze pięćdziesiąt stron książki, z początku humorystyczno-naiwny w końcu arcy-tragiczny, ma jedną wadę: mało treści a dużo wierszy, i nie najlepszych wierszy. Lepiej było utwór ten jeszcze w ukryciu zachować. Kiedyś, gdyby talent się rozwinął, miałby w nim pamiątkę z dróg, po których chadzał.

Następująca po *Zosi Księga pamiątek* jest księgą liryki erotycznej, śpiewanej dla kobiety w czterech odmianach: Psyche, Muza, Weronika, Aspazya. Najlepsze są: *Obecność ukochanej*, *Sielanka*, *Aspazya*, *Kapryśnej*. Pomimo zgrzytów i jęków — zresztą niezbyt licznych i silnych — liryka p. W. pozostawia kobiecie nadal rolę magnetycznego bieguna: wpływowi jej zatem duch piśmiennicy autora nie prędko jeszcze ulegać przestanie. Życzę mu potrzeba na dalszą drogę *połączenia się* przez inne jeszcze dobra, ideały i miłości — istniejące poza kobietą — choćby tylko dla lepszego ośpiewywania samej kobiety. Jestto błąd kardynalny poetów kobieco-lirycznych, że zanadto dają się powodować tej naturalnej żądzy wydzielnia sobie własnego świata miłości z całości rzeczy stworzonych przez Boga i dotwarzanych przez ludzkość. Im więcej *człowieka* w zakochanym, tem lepiej. Nie podobna dziś wyrokować o dalszym rozwoju p. W.; obawiać się tylko można: czy autor ma dość silną wyobraźnię, aby bez pomocy dawniejszych poetów i ich postaci myślowych mógł unieść brzemień poetyckiego zawodu? Mironowe „śmianie się przez łzy” — kilka razy użyte — wypadłoby już złożyć do archiwum, a w miejsce gwiazd, pereł, kruczich piór i t. d. wprowadzić coś nowego. Na str. 101-ej czytamy: „Oczy twe czarne niby gwiazdy świecą Jak *krucze pióra* (!) włos ci zdobi skronie, Jak sznury pereł błyszczą twoje ząbki, Usta z koralu, żar na licach płonie, A piersi białe, niby dwie gołąbki” — dobrze, że nie sępy! Wszystkie te porównania są tak banalne, że trzeba stanowczo już z niemi zerwać, a raczej stanowczo się ich wyrzec na przyszłość. Wogóle odczuwanie życia i świata przez p. W. niewielką odznacza się siłą. Najsilniej może przemówiło na str. 104: „Ach, mnie się zdaje, gdy nas uścisk spleta, Tu, gdzie na łanie gniazdo szczęścia zwił, *Ze dziś jesteśmy środkiem tego świata, Ogniskiem jego rozkoszy i sił*”. Jest to żywe i piękne.

Obieg dzienny ziemi około swej osi stanowi dla naszego satelity dogodny chronometr i zarazem jest powodem podobnych zjawisk jak dla nas księżyc. Ziemia niejednokrotnie staje między słońcem a księżycem i wtedy następuje zaćmienie słońca dla księżyca, a w tym czasie my mamy zaćmienie księżyca. Owo zaćmienie słońca na księżycu, z powodu pozornie cztery razy mniejszej średnicy słońca od ziemi, trwa całe dwie godziny. Za to, gdy u nas obserwować można zaćmienie słońca, na księżycu widziałem jest obrączkowe zaćmienie ziemi.

Przejdźmy się teraz na inne planety, a przekonamy się, że z nich ziemia przedstawia się daleko mniej okazale. Dla Merkurego np. ziemia jest planetą, dochodzącą blasku takiego, jak dla nas Jowisz. Na planecie Wenus blask naszej ziemi jest silniejszym, aniżeli dla nas wszystkie gwiazdy widziane na firmamencie niebieskim, silniejszym od blasku samej Wenus, a nasza ziemia widziana z Marsa przedstawia się zupełnie tak, jak nam Wenus, jest taksamo gwiazdą poranną i wieczorną, gdyż orbita jej jest wewnętrzną do drogi eliptycznej Marsa. Fazy jej przypominają także fazy księżyca i Wenus na ziemi. Ziemia i jej satelita przesuwają się niekiedy przed tarczą słońca jako dwa czarne punkta; zjawisko to było obserwowane w dniu 12 Listopada 1879 roku i znowu się powtórzy w roku 1905. Gdy więc padł nasz przedstawia się dosyć pompatyczne wymienionym planetom, za to rzuciwszy na niego okiem z olbrzymiego Jowisza, zobaczymy go zaledwie w kształcie maleńkiej gwiazdki porannej i wieczornej, odchylającej się wszystkiego 12° z obydwu stron słońca. Corocznie można obserwować na Jowiszu przejście maleńkiego ciemnego punkciku przez tarczę słoneczną; na owym czarnym punkciku znajdujemy się my piszący i wyczytujący te słowa. Patrząc na ziemię z Saturna, zobaczymy, że nie odchyła się od słońca więcej niż na 6°, z Urana na 3° a z Neptuna na 2°. Są to tak małe odległości, iż skutkiem silnych promieni słonecznych jesteśmy dla tych ostatnich planet ledwo dostrzegalnymi.

Co do dalszych gwiazd to one zupełnie nie wiedzą o naszym istnieniu. Exystujemy, pomimo pompatyczności, tylko dla blizkich sąsiadów. Lecz nie rozpaczajmy, nawet dla najbliższych naszych gwiazd słońce z ich firmamentu, pomimo kolosalnej wielkości i kolosalnych promieni słonecznych, wydaje się tylko świetlanym punkcikiem.

*

*

*

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Ziemia widziana z innych ciał niebieskich. — Odkrycie na Marsie. — Tęcza księżyca. — Mięso zatrute dymem tytuńowym.

Jeżeli przeniesiemy się myślą na planety niebieskie i ztamtąd spoglądać będziemy na nasz padół płaczu i zgrzytania zębów, to według obecnego stanu nauki przedstawi się nam, według „La Géographie” następujący widok:

Średnica ziemi, gdy patrzeć na nią z naszego satelity, księżyca, jest cztery razy większą od niego, a powierzchnia jej i blask 13 razy większe od księżyca, jak go widzimy z ziemi. Ziemia na księżycu wydaje się jakby w przestrzeni nieruchoma i okazuje podobne fazy jak księżyc dla ziemi, z tą jednakże różnicą, że odbywają się w odwrotnym stosunku, t. j. ziemia wówczas przechodzi nów, gdy księżyc pełnia, a pierwszą kwadrę, gdy on ostatnią. Podczas 354 godzinnej nocy, stanowiącej połowę doby księżycowej, ziemia biegnie po widnokręgu księżyca, przechodząc wszelkiego rodzaju fazy, a blask jej oświeca krajobrazy na części księżyca, pozbawionej promieni słonecznych.

Od pewnego czasu bardzo się wiele mówi i pisze o zdumiewających odkryciach astronomicznych na Marsie, dokonanych jakoby za pośrednictwem olbrzymiego teleskopu, ustawionego w obserwatorium na Mount Hamilton, który mechanik Clark połączył z nowego rodzaju mikroskopem we Wrześniu roku 1887. Widziano wrzekomo miasta o wspaniałych budynkach, przypominające prostolinijną architekturę grecką, ludzi w licznych grupach, przyodzianych w jasne szaty, obserwowano nawet ich czynności np. ładowanie okrętów i t. p. Najciekawszem jednakże spostrzeżeniem był widok rezerwoara i kanałów, przecinających całą powierzchnię Marsa, a o których i niżej podpisany zamieścił wzmiankę w jednej z zeszłorocznych kronik „Bluszczu”. *Mea culpa*, a na usprawiedliwienie przytaczam sprostowanie w tym względzie, zamieszczone przez p. S. K. w Nr 6 „Wszelchwiata”. „Niewkraczając w teorię lunet, która się treściwie wyłożyć nie da, możemy tylko nadmienić — pisze p. S. K. — że w powiększeniach niepodobna przekraczać pewnej granicy, w miarę bowiem jak wzrasta powiększenie powodowane przez szkło, słabnie jednocześnie jasność obrazów, podobnie jak w mikroskopach, światło bowiem rozkłada się na większą przestrzeń. Dlatego tło nieba wydaje się w lunecie zawsze ciemniejszym, aniżeli oku nieuzbrojonemu, i dlatego za pośrednictwem lunet możemy podczas dnia dostrzegać jaśniejsze gwiazdy, których widok oku nieuzbrojonemu, sam blask nieba wydziera. Do tego przybywa wpływ

niedostatecznej achromazji, czyli niezupełnego usuwania barwności obrazów, oraz dyfrakcji, czyli uginania się promieni światła, co, w miarę silniejszych powiększeń, coraz bardziej mąci jasność i czystość obrazów, a te i inne względy powodują, że w powiększeniach poza pewną granicę przechodzić niepodobna. Jaką jest ta granica? dziś jeszcze dokładnego pojęcia nie mamy...

.... „Najgroźniejszym jednakże nieprzyjacielem obserwacji astronomicznych — mówi dalej p. S. K. — jest atmosfera nasza, a to zarówno dla niezupełnej swej przejrzystości, jak i dla ruchów drgających, którym powietrze ulega. Gdy podczas skwarne go dnia letniego spoglądamy na przedmiot znajdujący się w odległości, wydaje się nam jakby drżącym, o chwiejnych zarysach. Przyczyną tego jest bezustanne mieszanie się prądów rozgrzanych, wzbijających się w górę, z wyższymi, chłodniejszymi warstwami powietrza. W lunecie wraz z powiększeniem przedmiotu obserwowanego wzmagają się i to drżenie tak dalece, że noce, w którychby można było korzystać z powiększeń bardzo silnych, przytrafiają się dosyć rzadko. Dlatego to w ostatnich czasach zwrócono uwagę na pożytek wznoszenia obserwatoryów w punktach znacznie nad poziom wzniesionych, na górach, w powietrzu przejrzystym, czystym i spokojniejszym, gdzie więc szkodliwy wpływ atmosfery, jeżeli nie usunięty jest zupełnie, to przynajmniej znacznie mógłby być ograniczony. W podobnie korzystnych warunkach znajduje się właśnie świeżo zbudowane obserwatorium na górze Hamilton w Kalifornii, na wysokości 1.500 metr., gdzie właśnie owe bajeczne odkrycia na Marsie miały być dokonane. Posiada ono rzeczywiście największą lunetę na ziemi; średnica jej soczewki bowiem wynosi 914 milimetrów, co zaś do połączenia jej z mikroskopem, jest to najzupełniejszą niedorzecznością, chyba, że przez mikroskop rozumieć należy okular, czyli szkło oczne lunety. Oprócz komet, które dały się wybornie obserwować, badano drobne planety Westę i Iris, które okazały wyraźną tarczę, tak, że można było oznaczyć ich średnicę; również wyraźną tarczę przedstawiają tam i księżyc Jowisza: można więc było obserwować kolejne fazy ich zaćmień, podobnie jak naszego księżyca.

„Nadewszystko zaś mnóstwo nowych szczegółów wydały obserwacje mgławic, zwłaszcza tych, którym W. Herschell nadał nazwę planetarnych; zebrane dotąd spostrzeżenia pozwalają wyróżnić w nich oddzielne typy i prowadzą do dokładniejszych poglądów na rozwój tych tworów odległych.

„Co zaś do Marsa to astronomowie z Mount Hamilton nie wykryli na nim, zgola nowych szczegółów...

„Mars nie zawsze — kończy p. S. K. — w jednakowo dogodnych do obserwacji znajduje się warunkach, odległość bowiem jego zmienia się w bardzo rozległych granicach, od 55 do 400 milionów kilometrów. Epoka najznaczniejszego zbliżenia Marsa do ziemi przypada na rok 1892, a wtedy zapewne zarówno w Mount Hamilton, jak i z innych obserwatoryów, otrzymamy dokładniejsze materiały do rozstrzygnięcia kwestyi ładów,

mórz i kanałów Marsa, ale nie jego miast, domów i mieszkańców!“

*

*

*

Jednym z rzadziej pojawiających się zjawisk na niebie jest tęcza księżyca. Zjawisko to podobne jest do tęczy słonecznej, z tą różnicą, że barwy jego są znacznie mniej żywe, a najczęściej przedstawia się jako biały bezbarwny łuk. Podobną tęczę obserwowano w roku zeszłym dnia 11-go Grudnia w okolicach Tuluzy. Księżyc już przebył pełnię, lecz posiadał jeszcze wielką ilość światła, co jest niezbędnym warunkiem, aby się tęcza mogła utworzyć.

Tęcze księżycowe, podobnie jak słoneczne tworzą się w kropelkach wody, oświeconych przez wewnętrzne odbicie się w nich i rozszczepienie promieni światła. Natężenie światła słonecznego bywa tak wielkie, że często tworzą się dwa a nawet trzy łuki, pochodzące od drugiego i trzeciego odbicia się promieni, lecz są coraz słabsze tak, że trzeci łuk, zaledwie bywa dostrzegalnym. Pobocznych tęcz księżyc nie posiada, światło jego bowiem jest zbyt słabe. Rzeczywistą tęczę księżyca odróżnić należy od białych kul, które bardzo często otaczają księżyc, widzimy je wówczas, gdy patrzymy wprost na tarczę księżyca, tęcza zaś widoczna jest z przeciwległej strony nieba. Białe owe koła powstają skutkiem zlodowaciałych chmur, przez które światło księżyca się przebija. Co do barwnych kół, jakie niekiedy dają się obserwować, powstających w bliskości naszego satelity, są one wynikiem pary wodnej, przez które przechodzą promienie światła, za nim wpadną do naszego oka.

Zabobon widzi w owych, zresztą dosyć rzadkich, zjawiskach świetlanych, przepowiednię przyszłych wypadków: wojny, moru, głodu i t. p. Dla nauki mogą się one stać środkiem nabrania wiadomości o stanie atmosferycznym warstw powietrznych. Być bardzo może, że z czasem zjawiska te staną się punktem oparcia do przepowiadania pogody.

*

*

*

Oddawna przypuszczano, że dym tytoniowy oddziaływał szkodliwie na mięso, lecz dopiero doświadczenia wykonane w ostatnich czasach przez Bourrier'a przekonały dowodnie, jak wielkim jest niebezpieczeństwo działania dymu tytoniowego na mięso, a zwłaszcza, będące w stanie surowym.

Podajemy w streszczeniu wyniki badań tego uczonego.

Bourrier wędził przez dłuższy czas wąskie kawałki mięsa w dymie tytoniowym, następnie nakarmił nimi psa, który zdechł po upływie niecałej godziny.

Przy oględzinach pośmiertnych znaleziono silne zapalenie błony śluzowej kiszek, a miejscami krwawe plamy.

Gotowane mięso, nasycone dymem tytoniowym, okazało się znacznie mniej szkodliwym, jednakże wywoływało wymioty u zwierząt mięsożernych,

niem karmionych. Mięso nawpół surowe pochłania z nadzwyczajną szybkością substancje trujące, zawarte w dymie tytoniowym; wreszcie sok mięsny zatruty dymem, połykany w małych ilościach, wywołuje u zwierząt wymioty i sztywność ciała, a wstrzyknięty pod skórę wróblom, królikom i szczurom, spowoduje drgawki i szybko zabija.

Z powyższych doświadczeń wywnioskował Bourrier, że dym tytoniowy zatrąwa mięso w wysokim stopniu, pozostawiając na niem część swoich pierwiastków trujących, że mięsiwo przygotowane w szlachtuzach i sklepach przepełnionych dymem tytoniowym, może szkodzić konsumentom. Można z pewnością tej przyczynie przypisać wielką ilość otruc, które pozostały niewytłomaczonymi, a spowodowane zostały przez spożycie napozór zdrowego mięsa.

Przytoczone twierdzenia zgadzają się z wiadomościami, jakie posiadamy o składzie dymu tytoniowego. Oddawna wiadomą jest rzeczą, że zawiera on w sobie liczne trucizny, bardzo silnie działające na ustrój zwierzęcy, a między niemi głównie: nikotynę, węglan amonu, kwas pruski i substancje aromatyczne, natury trującej.

Dr. J. S.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim** podaje do wiadomości pp. budowniczych, iż w m. Styczniu 1891 roku odbędzie się w lokalu Towarzystwa Wystawa konkursowa **architektury**, a mianowicie wszelkiego rodzaju kompozycji w zakresie budownictwa wchodzących. Nie kwalifikują się na wystawę wszelkie kopie i kompozycje autorów zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy. Na wystawę konkursową przyjmują się kompozycje wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, które poprzednio nie znajdowały się, czy-to na Wystawie stałej Towarzystwa, czy też na innej wystawie w Warszawie. Tutaj objaśnia się, iż pod nazwą kompozycji rozumiane są projekta architektoniczne w rysunku, jak i fotografie z natury z dzieł architektonicznych już wykonanych. Deklaracje w formie listów Komitet Towarzystwa przyjmować będzie do dnia 15 Grudnia 1890 r. W deklaracji wymienić należy tytuł kompozycji, imię i nazwisko i dokładny adres autora, oraz krótką wiadomość o miejscu urodzenia i o tem, w jakiej szkole otrzymał specjalne wykształcenie. Kompozycje zaś winny być dostarczone do lokalu Towarzystwa przed 31 Grudnia 1890 r. — Komitet wyznaczył dla tej Wystawy trzy nagrody pieniężne z funduszu Towarzystwa po rs. 600, 300 i 200, za kompozycje bezwarunkowo odznaczające się. Regulamin, czyli instrukcją szczegółową konkursu powyższego kancelarya Towarzystwa wydaje lub wysyła na żądanie bezpłatnie.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

TREŚĆ: **Jesus Chrystus Consolator** (drzeworyt). — **Rozkosze życia**, (świętowanie i praca), przez M. Hnicką. — **Drugie pokolenie**. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — **Z ziemi świętej**. — **List z Londynu** (dokoń.) — **Echa literackie**. — **Z działu przyrody**. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dr. J. S. — **Mysli**. **Dodatek obejmuje:** Arkusz 5-ty powieści, pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. — **Przegląd mód**. — 29 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie**. — **Dyspozycja stołu**.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 28 Марта 1890 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

PRZEGLĄD MÓD.

Kolory dawne w porównaniu z obecnie noszonymi. — Co jest moda i za jaką cenę można mieć letnią prawdziwą wełnianą suknię. — Nowości pana Makowskiego. — Tanie wełny w niezliczonych odmianach. — Ostatni wyraz francuskich czarnych wyrobów wełnianych. — Parasoliki z rączkami ze złożonej trzciny.

Od kilku już lat jest z małymi wyjątkami wszystko modne byle gustowne i nie rażące staroświecką formą lub kolorem. Otóż z temi kolorami to największa bieda — kolory tęcze wyrażają swą wyrazistością — dziś tylko takie modne i ładne, którym nazwy dać trudno, każdy podchodzi pod jakiś znany kolor, ale nim nie jest. Otóż popielato-stalowy zwany „Edison“, blade-niebieskawy a jednak nie niebieski, wpadający w dawniej znany „gris-perle“ perłowy i heliotrop, przypominający barwę tego poetycznego kwiatu, są to trzy najmodniejsze kolory. Naturalnie, że obok nich są jeszcze setki odmian: granatowych, gliniastych, „fraise“, które stosownie do gustu, wieku i materiału a głównie przeznaczenia sukni zastosować należy. Że można mieć dziś tanią i lekką suknię, dowodzą sprowadzone przez p. Makowskiego francuskie wełny. Otóż czysta wełna, cienka, w najmodniejszych barwach, podwójnej szerokości, bo dziś oprócz fularów i jedwabi wszelkie wełny są szer. 105 cent. czyli przeszło metr, i kosztują 90 kop. To też wobec skromnego składu dzisiejszych sukien stosownie do wzrostu nie wymagających więcej niż 10 do 12 łokci najwyższej, można mieć materiał na suknię za rs. 10, a zrobiwszy ją w domu podług wzorów naszego pisma z dodatkami nawet ładnymi dojdzie koszt do rs. 15. Prywatne pracownice biorą dziś od fasonu nie więcej jak 5 do 6 rubli ze zwykłymi dodatkami drobnymi. Wełny w paski są nawet tańsze, bo po 80 kop. łokieć w licznych odmianach, wszystkie zagraniczne, bo słusznie pan Makowski dowodzi, że kolory wyrobów wełnianych żadne nie wytrzymują tak jak francuskie — tutejsze pełzną wkrótce pod wpływem powietrza i nigdy nie są ową modną barwą bez nazwy. Dalej pokazywano nam wełnę zwaną „floconé“, jest to materiał mniej gładki, niby naśladowany włochaty a jednak niewłochaty, cały w płytki mdławo-różnokolorowe, śliczny ten materiał jest w kilku gatunkach, poczynając od rs. 1 do rs. 1 kop. 40. Dalej płótno wełniane „toile de laine“, gładki angielski materiał, trochę szorstki, wielki wybór kolorów głównie gliniastych po rs. 1, ów angielski materiał jest i w lekką kratę, tak jak i owo „floconé“ w płytki bywa na nikłej kratce — ach! cóż tych rodzajów —

zgubić się trzeba wybierając. Następnie idą już droższe materiały wełniane na gładkiej wełnie grochy tkane w wełnie lub tkane jedwabiem, naśladowujące haft, te są po 2 rs. łokieć i do tych materiałów droższych dają się albo aksamitne, lub też jedwabne rękawy, zresztą żadnej ozdoby. Śliczne także są odpasowane suknie ze szlakiem na 20 centim. szer. w dole na jasnym tle grochy — dalej w paski lub gładki materiał — inne jeszcze szlaki całe jedwab z wełną w pasy poprzeczne niby atlasowe w coraz szersze paski, suknie takie są od 25 rs. Odmianą są suknie zwane „bajadère“, w dole szlak naśladowający wybornie gipiurę, dalej pasy — inne jeszcze suknie mają odpasowanych szlaków ażurowych z atlasem 3 i pół łokcia, co formuje spódnice zostawiając tylko tylny bryt gładki. Francuzi ze wszystkiego korzystają, otóż swą wieżę „Eifel“ mieszczą wszędzie gdzie się da, na gładkiej wełnie szlak w dole, a sama wieża ciągnie się w atlasowym białawo-popielatym odcieniu. Bardzo modną fantazją są groety kolorowe jednakowe lub bukiety na czarnej grenadynie; ostatnią jednak tak zwaną w Paryżu „hautre fantaisie“ jest na wełnianej grenadynie niebieskawy-popielatej czarne bardzo gęsto rzucone bukiety koronkowe białe koronki naśladowujące gatunek „malines“ jedna figura prawie obok drugiej — ten materiał po rs. 4 łokieć, ale go się uży-

wa tylko na tiuniki lub przód i draperyę u stannika, fularów tylko francuskich i tak zwanych „pongi“ lepszy gatunek fulara mnóstwo odmian od 1 — 20 do 2 rs. łokieć, a jakie piękne wzory i groszki i paki i kropki i kwiatki — na białym tle lub na jasnym „fraise“ przechodziły cieniutkie poprzeczne czarne paski a na tych w pewnych odstępach z cieniutkich liści kwiateczki z czarnymi pyłkami w środku.

W czarnych wełnach francuzi przodują światu całemu, to też wełny, w najwytworniejszych gatunkach grenadyny lub kaszmiry w atlasowe groety, groszki, kółka — pierścionki drobne, rzuciki były najwspanialszymi okazami żałobnej wełny — koloryt czarny i połysk z niczem niezrównany.

Pan Makowski zawsze oryginalny w pomysłach sprowadził parasolki — głównie „en tout cas“ w różnych kolorach z metalowymi prętami wewnątrz, tak, iż parasolka nawet od spodu przedstawia się świetnie. Oryginalne rączki ze złożonej w kilkoro trzciny niewidziane jeszcze były w Warszawie. Tak monstrualnie wysokich kijów jak w roku zeszłym już się nie nosi.

L. C.

Serwetka. Ścieg płaski, przezroczysty i robota szydełkowa.

Rycina Nr 25, 26, 31, 32 i 33 w Bl. Nr 14. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 30).

Serwetka 60 cent. w kwadrat, oprócz koronki, wykonana na tkaninie kongres koloru żółtawego, otoczona mereszko-wym obrąbkem 1 cent. szer. i koronką wykonaną szydełkiem. Zafastrygować obrąbek, wzdłuż którego wyciągnąć 3 nitki tkaniny i wyciągnąć szew, przejmując zawsze 4 nitki jednym ścięciem. Następnie na pasek przezroczysty należy: najprzód na 2½ cent. a potem na 10 cent. odległości od obrąbka z uwzględnieniem ryc. Nr 32, wyciągnąć 15 nitki i wykonać rodzaj siatkowego deseni podług ryc. Nr 31. Resztę deseni i figury wykonać bawełną koloru żółtawego ścięciem płaskim jak wskazują ryc. Nr 25, 31—33. Przezroczyste tła w figurach wykonać niemi wyciąganymi. Co do otaczającej koronki, którą ryc. Nr 26 przedstawia w naturalnej szerokości, należy najprzód wykonać odpowiednią długość oczek założenia, które złączyć w kółko. — 1 kolej: 5 o. powietrznych, potem ciągle na przemian: 1 słuppek w 2 z rzędu ocz., 1 pow. o., w rogach zaś należy 5 razy sł. w następ. o. przerobić, na koniec 1 ścis. łań. ocz. w 4 pierwszych 5 pow. o. — 2 kolej: 4 pow. ocz., następne ocz. opuścić *, 3 sł. w następne 3 o., 3 pow. o., 1 sł. w 4 z rzędu o., 3 pow. o., 3 o. opuścić, 3 sł. w następ. 3 o., 1 pow. o., 1 sł. w 2 z rzędu o., 1 pow. o., 1 o. opuścić, od * powtórzyć. W piątym rzędzie oczek narożnika 6 sł., których dwa



Nr 1. Suknia z „surah“ (do ryc. Nr 22 w Bl. Nr 14).
Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 31—42.

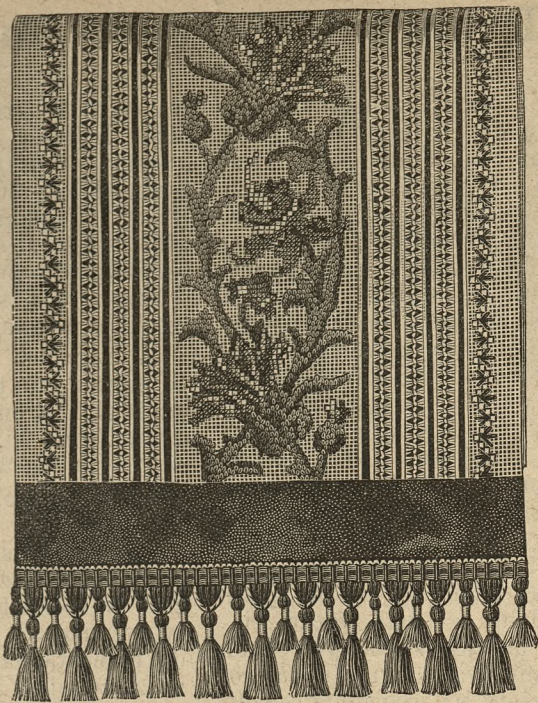
Nr 2. Suknia z muszlinu wełnianego (do ryc. Nr 23 w Bl. Nr 14).

środkowe przedzielone 3 pow. oczkami, na zakończenie zaś zamiast sł. 1 ścis. łań. o. w 3 pierwszych 4 pow. o. — 3 kolej: * 3 pow. ocz., 2 ocz. opuś., 3 sł. w następ. 3 o., 3 pow. o., 1 ścis. o. w 3 z rzędu o., od * powtórzyć, ale w 1 z tychże i 1 podw. sł. w te same ocz., w którym poprzedni podwój. sł. był wykonany, potem 2 sł., 1 pół sł., 1 ścis. o. w następ. 4 o., 1 pikot, 3 pow. o., 1 ścis. o. w następ. o., od * powtórzyć. Na rogach po 2 sł., na koniec 1 ścis. łań. o. w ostatnie o. poprzedniej kolei.

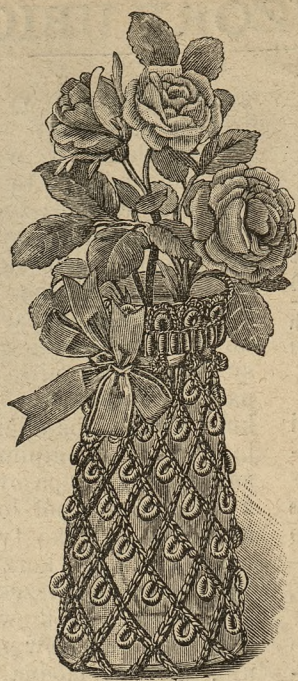
Koronka (robota drutowa).

Rycina Nr 29 w Bl. Nr 14.

Koronka wykonana krętą bawełną cienkimi stalowymi drutami. — 1 kolej: zwyczajnie. — 2 kolej: odwrotnie. — 3 kolej: zwyczajnie. — 4 kolej: (prawa strona roboty) zebrać na drut, 1 o. zwyczajnie, * drut owinać, 1 zwycz., dr. owin., 5 zwycz., 2 razy 2 o. zwycz. razem przerob., potem 5 zwycz., od * powtórzyć; dr. owin., 1 o. zwycz. owin., 2 zwycz. — 5 kolej: odwrotnie (koleje nieparzystą oznaczone cyfrą aż do 31 kolei włącznie, przerabiać odwrotnie, o czym już nadmieniam nie będziemy). — 6 kolej: o. zebrać na dr., 1 zwycz., * dr. owin., 3 zwycz., dr. owin., 4 zwycz., 2 razy 2 o. zwycz. razem przerob., 4 zwycz., od * powtórzyć; na koniec dr. owin., 3 zwy., dr. owin., 2 zwycz. — 8 kolej: zebrać o. na dr., 1 zwycz., * dr. owin., 2 zwycz. razem przerob., 1 zwycz., 2 zwycz. razem przerob., dr. owin., 3 zwy., 2 razy 2 o. zwy. razem przerob., 3 zwycz., od * powtórzyć, na koniec dr. owin., 2 zwyczaj. razem przerob., dr. owin., 2 o. zw. razem przerobić, dr. owin. 2 zw.— 10 kolej: zebrać o. na dr., 1 zwy., * dr. owin., 1 zwy., dr. owin., 2 o. zebrać (na co zebrać następ. ocz., następne 2 przerobić razem zwycz. i przez te przeciągnąć o. zebrane) drut. owin., 1 zwycz., dr. owin., 2 zwy., 2 razy 2 zwycz. razem przerob., 2 zwycz., od * powtórzyć; drut. owin., 1 zwycz., dr. owin., 2 ocz. zebrać, dr. owin., 1 zwy., dr. owin., 2 zwycz.— 12 kolej: o. zebrać na dr., 1 zwycz., * drut. owin., 3 zwyczajn., drut. owin., 1 zwycz.,

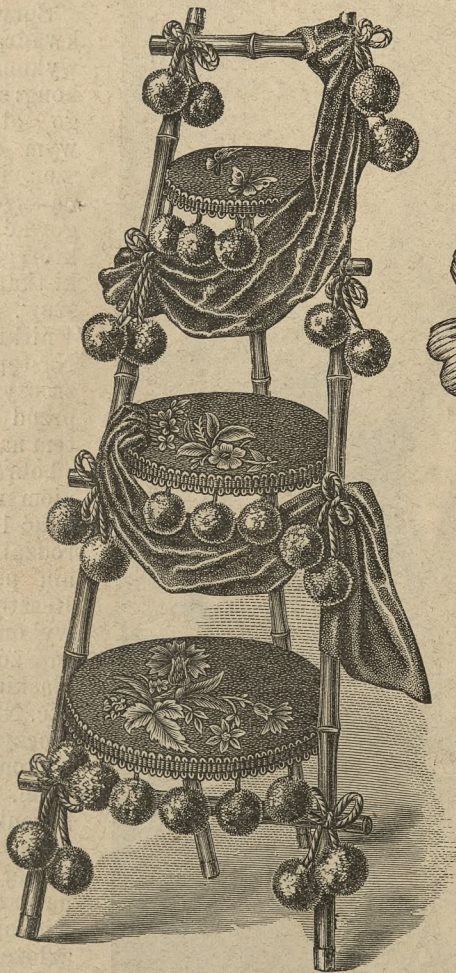


Nr 3. Część haftu na serwetkę podłóżną (do ryc. Nr 10).



Nr 4. Szklanka do kwiatów ozdobiona robotą szydełkową.

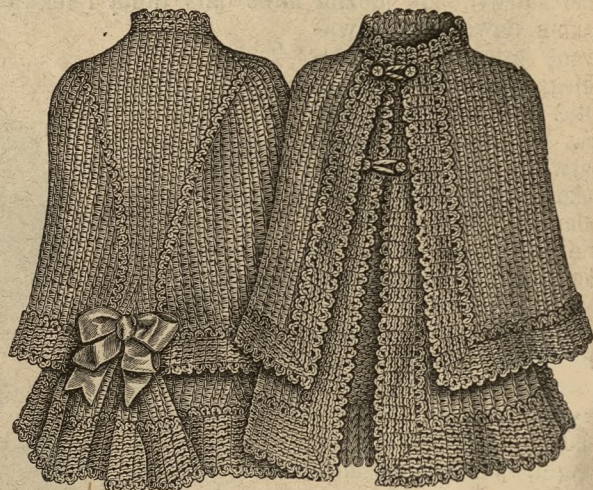
dr. owin., 3 zwy., dr. owin., 1 zwycz., 2 razy 2 zwycz. razem przerob., 1 zwycz., od * powtórzyć; dr. owin., 3 zwycz., dr. owin., 1 zwycz., dr. owin., 3 zwycz., dr. owin., 1 zwy.— 14 kolej: ocz. zebrać na dr., 1 zwy., * dr. owin., 2 zwycz. razem przerob., 1 zwycz., 2 zwycz. razem przerob., dr. owin., 1 zwycz. dr. owin., 1 zwycz., dr. owin., 2 zwycz. razem przerob., 2 razy 2 zwycz. razem przerob., poczem od * powtórzyć. W końcu zamiast 2 razy 2 zwycz. razem przerob. tylko 2 zwycz.— 16 kolej: o. zebrać na dr., 1 zwycz., * dr. owin., 1 zwycz., dr. owin., 2 ocz. zebrać, dr. owin., 3 zwycz., dr. owin., 2 o. zebrać, dr. owin., 1 zwycz., dr. owin., 2 zwycz. razem przerob., od * powtórzyć; na koniec zamiast 2 zwycz. razem przerabiać 2 zwycz.— 18 kolej: o. zebrać na dr., 1 zwycz., * dr. owin., 5 zwycz., 2 zwycz. razem przerob., 6 zwycz., dr. owin., 1 zwycz., od * powtórzyć, na koniec zamiast 1 zwycz. 2 zwycz.— Kolej: 20, 22, 24, 26, 28 i 30, tak jak 6, 8, 10, 12, 14 i 16, zwracając uwagę na deseń. Po wykonaniu 31 kolei, wykonać jeszcze 3 w sposób, ażeby zbiorowe ocz. prawej strony, przedstawiały lewą, poczem oczka odczepić.



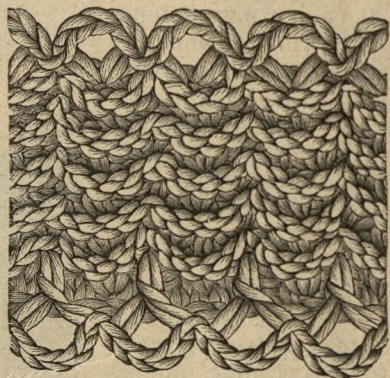
Nr 5. Postumencik ozdobiony haftem (do ryc. Nr 6 i 11). Deseń odwr. str. tab. Nr XIII, fig. 59.



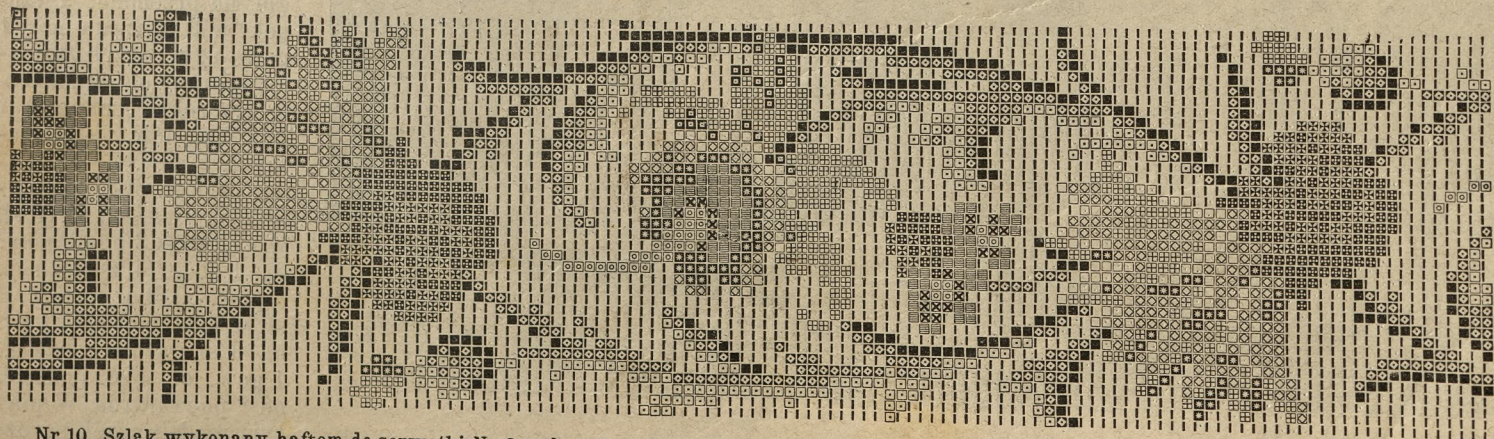
Nr 6. Gałązka haflowana do postumentu Nr 5.



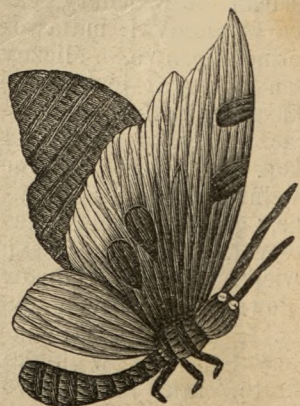
Nr 7 i 8. Płaszczki dla dziecka od 1—2 lat. Robota szydełkowa (do ryc. Nr 9). Kr. pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 27—29.



Nr 9. Bordura do płaszczyka do Nr 7 i 8. Robota szydełkowa. Wielkość oryginalna.



Nr 10. Szlak wykonany haftem do serwetki Nr 3 (robota krzyżowa). ■ 1-szy najciem. oliwk., □ 2-gi jaśniejszy, □ 3-ci najjaśniejsz. oliwk. * Ciemno-bronz., ■ jasno-bronz. □ Ciemno-piask., □ jasno-piask. □ Biały, □ ciemno-różowy, ■ jasno-różowy. * Ciemno-niebies., ■ jasno-niebies., □ żółty, □ tło.



Nr 11. Motyl do postumentu Nr 5.

Suknia z muślinu wełnianego.

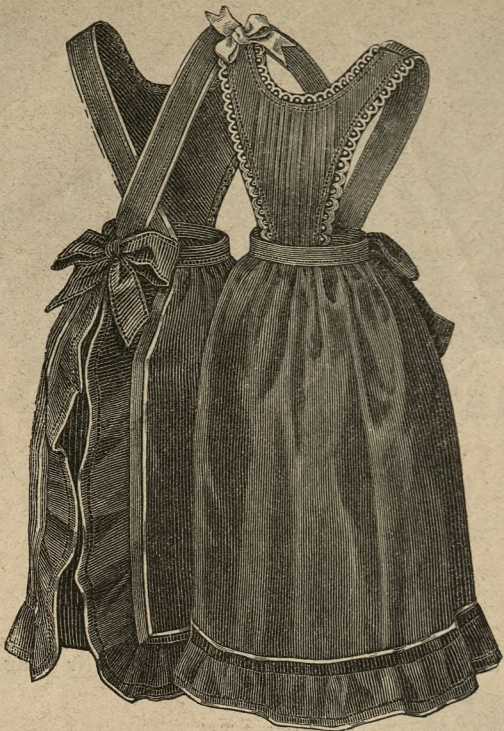
Rycina Nr 2 i ryc. Nr 23 w Bl. Nr 14).

Suknia z muślinu wełnianego koloru zielonego w rzucik czarny i tegoż koloru odpasowane szlaki. Na spodnicy z podszewki, przyszyte trzy marszczony falbany jak wskazuje rycina. Stanik krótki, przybrany w części przedniej czarną koronką. Pasek i kokardy z czarnej aksamitnej wstążki.

Serwetka podłóżna.

Rycina Nr 3 i 10.

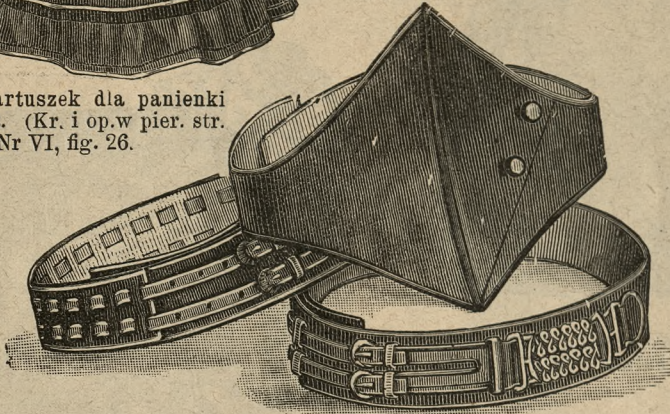
Serwetka wykonana na tkaninie kraciastej „kongres“ 31 cent. szerokości, w przezroczyste tkane pasy $\frac{1}{2}$ cen. szer. Część środkowa $11\frac{1}{2}$ cen. szer. ozdobiona haftowanym szlakiem podług ryc. Nr 10, ścięciem krzyżowym przez dwie nitki tkaniny na wysokość i szerokość ścięgu. Użyć należy rozmaitego koloru filozele



Nr 12 i 13. Fartuszek dla panienki od 11—13 lat. (Kr. i op. w pier. str. tabl. Nr VI, fig. 26).



Nr 14 i 15. Suknia dla panienki od 4—6 lat. (Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 14—20).



Nr 16—18. Paski ze skóry.



Nr 19. Suknia dla młodej osoby (do ryc. Nr 20).

oraz jedwab „boucle“ koloru brązowego. Brzeg zewnętrzny nieobrobiony, wykończyć rzędem ząbków ścięciem krzyżowym jedwabiem brązowym 4 ścięgi na wysokość. Pomiędzy zębami, wykonać 3 długie ścięgi jedwabiem granatowym, rzędy zaś przezroczyste przeszywać tegoż koloru jedwabiem. Zakończeniu strony poprzecznej stanowi pas 6 cent. szer. z pluszu koloru miedzianego i frendzla pasmanteryjnego różnokolorowa 8 cent. szer.

Postument z puleczkami ozdobiony haftem.

Rycina Nr 5, 6 i 11. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 59).

Postument 87 cent. wysoki z drzewa bambusowego polerowanego na kolor brązowy spajany nikłowymi wiązaniami,



Nr 21. Suknia dla młodej osoby.

3 okrągłe puleczki umieszczone w równych odstępach obite bają koloru oliwkowego i ozdobione haftem podług ryc. Nr 6 i 11. Wykończają całość: pasmanteryja, sznury, bombelki różnokolorowe i draperie z pluszu koloru oliwkowego. Haft wykonać rozpolowioną filozele ścięciem płaskim i supełkowym.

Płaszcz dla dziecka od 1—2 lat. Robota szydełkowa.

Rycina Nr 7, 8 i 9. (Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 27—29).

Płaszcz wykonany włóczką zefir koloru „crème“ ścięciem tunetańskim. Brzeg zewnętrzny otoczony szlakiem a część tylna ozdobiona kokardą. Skrajac z muślinu fig. 27—29. Po dopełnieniu złożenia fig. 27, połączyć plecy i przednie części podług cyfr od 56 do 57. Wykonać poniżej szwu wskazaną fałdę, trafiając * na *. W obydwóch dolnych brzegach



Nr 20. Suknia dla młodej osoby (do ryc. Nr 19).

wykonać odpowiedniej długości ilość oczek potrzebnych i wykonać dolny brzeg płaszczyka ścięciem tunetańskim odpowiednio do formy aż do wcięcia. Następnie urządzić tylną fałdę, mocując każdy $\frac{1}{4}$ na kropce, następnie tym samym ścięciem wykonać plecy i części przednie, stosownie do formy, gubiąc lub przybierając ścięgi. Połączyć ramiona od 56 do 59 ścięciem obrzucanym, i wzdłuż wycięcia szyi wykonać 1 kolej ścisłych łań. ocz. w poprzeczne żyłki ostatniego rzędu. Pelerynkę rozpocząć od dolnego brzegu fig. 29. Po wykończeniu umocować takową podług cyfr do pleców, ramion i wycięcia szyi, a połączenie to pokryć odpowiednią ilością ścis. łań. o. w plecach jak następuje: * 1 ścis. o. w następny rząd, 5 pow. o., takowe przytrzymując mocno wielkim i wskazującym palcem lewej ręki, wykonać 1 ścis. o. w poprzednie ścis. o., od * powtórzyć. Płaszcz oraz pelerynkę otoczyć oprócz wycięcia szyi, kolejną jak następuje: po odwrotnej

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.